

ELIZABETH BEVARLY

Prezent

Tytuł oryginału
A Doctor in Her Stocking

ROZDZIAŁ PIERWSZY

- Koszmar. W dzisiejszej gazecie też nie ma nic sensownego - mruknęła do siebie Mindy Harmon.

W jednym ręku trzymała nakaz eksmisji wręczony przez administratora, w drugim ścisnęła plik ogłoszeń o wynajmie mieszkań. Niestety, żadna z ofert nie odpowiadała jej potrzebom, a właściwie raczej skromnym możliwościom kieszeni.

A ponieważ Boże Narodzenie było tuż, tuż, bo zaledwie za trzy tygodnie, w najbliższym czasie nie mogła liczyć na żadną wyjątkową okazję. W każdym razie nie w ciągu nieszczęsnych trzynastu dni, po których zostanie wyrzucona na bruk.

Gdyby miała jeszcze jedną wolną rękę, pogłaskałaby się teraz czule po brzuchu. W maleńkiej kuchence rzuciła nakaz eksmisji na zniszczony stół, który, podobnie jak wszystko w tym mieszkaniu, też był wynajęty, i łagodnymi, okrężnymi ruchami zaczęła pieścić rozwijające się w jej łonie dziecko.

- Zanosz się na to, kochanie, że święta spędzimy na ulicy - powiedziała miękko głosem. - Chyba że pomoże nam jakaś dobra wróżka.

Mindy głęboko westchnęła. No cóż, nie była to pierwsza w jej życiu trudna sytuacja i z pewnością nie ostatnia.

Teraz jednak, jako przyszła matka, musiała troszczyć się o jeszcze jedną istotę, drobnutką i bezbronną, za której życie ponosiła całkowitą odpowiedzialność.

- Och, Sam! - jęknęła, zwracając się w myślach do zmarłego męża. - Znowu popsuleś nam święta. A ja, głupia, sądziłam, że już nigdy nie zrobisz niczego podobnego.

W porównaniu z tym, co teraz przeżywała, zeszłoroczny wyczyn Sama Harmona wydawał się w gruncie rzeczy błahostką. Były mąż upił się, stracił przytomność i przewrócił choinkę. Drzewko upadło tak nieszczęśliwie, że zajęło się

ogniem od kominka. Skończyło się na tym, że spłonął cały dom.

Jakby nie dość tego, że stracili cały dobytek, po pożarze Sam przyznał się żonie, że nie popłacił wszystkich rachunków, w tym nie ubezpieczył siebie i Mindy od nieszczęśliwych wypadków, a domu od ognia.

Z całej tej koszmarnej przygody przynajmniej oboje wyszli żywi i cali. Jediną dobrą stroną tego wydarzenia był fakt, że Sam wreszcie zrozumiał, iż musi zacząć walczyć ze swoim alkoholizmem. Nie pił przez prawie pół roku i na początku lata wszystko wskazywało na to, że upora się z nałogiem. Postanowili powiększyć rodzinę i w sierpniu okazało się, że Mindy jest w ciąży.

Niestety, dobre czasy skończyły się szybko. Dowiedziawszy się o ciąży żony, Sam upił się na umór i cały koszmar zaczął się od nowa. Niedługo potem, po wyjściu z baru, usiadł pijany za kierownicą i jadąc z ogromną prędkością, rozbił samochód o drzewo. Zginał na miejscu.

Tak więc mając dwadzieścia siedem lat, Mindy została wdową. Ciężarną i bez grosza przy duszy. Polisa Sama ledwie starczyła na pogrzeb i zapłacenie dużej liczby pozaciąganych przez niego długów.

Od śmierci męża upłynęły niespełna cztery miesiące. Mindy miała teraz na głowie moc różnych przyziemnych spraw, wymagających natychmiastowego załatwienia. Przede wszystkim musiała się zatroszczyć o nie narodzone dziecko. O jedzenie i miejsce do spania, opiekę lekarską i niezbędne medykamenty, nie mówiąc już o wyprawce dla dzidziusia.

Na myślenie o zmarłym mężu pozostawało niewiele czasu.

Szczerze powiedziawszy, ich związek nie był szczęśliwy. Pobrali się zaledwie miesiąc po poznaniu i Mindy zbyt szybko uprzytomniła sobie, że wcale nie zna swojego męża. Sądziła, że wychodzi za mężczyznę atrakcyjnego, pełnego optymizmu

i uroku. Szybko jednak przekonała się, że po wypiciu alkoholu Sam staje się zupełnie innym, absolutnie nieprzewidywalnym człowiekiem. Pił, i to wiele. Stanowczo zbyt dużo, by ich małżeństwo mogło funkcjonować poprawnie. Mimo to Mindy postanowiła je utrzymać. Za wszelką cenę. Dopóki śmierć ich nie rozłączy.

Rozłączyła.

Sam wracał do domu podpity lub pijany, roztaczając wokół siebie woń alkoholu i perfum. To, że interesował się innymi kobietami, Mindy początkowo składała na karb alkoholu, lecz okazało się, że nawet podczas krótkiego okresu abstynencji Sam zdradzał ją na prawo i lewo.

Łudziła się, że ciąża scementuje ich związek. Mąż podzielał jej entuzjazm, zgadzał się na powiększenie rodziny i pragnął zostać ojcem. Niestety, znów zawiódł żonę. Świadomość, że jako głowa rodziny będzie ponosił odpowiedzialność za dziecko, okazała się zbyt trudna do udźwignięcia dla tego słabego człowieka. Natychmiast wrócił do picia.

Mindy ponownie westchnęła i położyła dłonie na brzuchu. Bieda nie była dla niej czymś nowym. Wychowała się w niedostatku. Ojca nawet nie znała. Od śmierci matki, którą straciła, mając szesnaście lat, utrzymywała się sama. Żyła samotnie, z wyjątkiem czterech lat małżeństwa. Ale i wtedy była zdana wyłącznie na siebie. Podobnie jak teraz, kiedy czekał ją los samotnej matki.

Przełknęła łzy. Wiedziała, że ciężarne kobiety są skore do płaczu. Do rozwiązania zostały jeszcze cztery miesiące. Miała więc przed sobą sto dwadzieścia niespokojnych i pełnych napięcia dni, podczas których będzie łamać sobie głowę, jak ze skromnych zarobków kelnerki utrzymać siebie i dziecko.

A potem? Potem będzie jeszcze trudniej.

Mindy postanowiła wziąć się w garść. Nie było tak źle. Miała jeszcze gdzie mieszkać przez najbliższe dwa tygodnie, miała jako tako zaopatrzoną lodówkę, a także pracę, która zapewniała kiepski, lecz stały dochód.

Za trzy tygodnie będzie Boże Narodzenie. Zdaniem Mindy, były to najpiękniejsze święta. Z atmosferą niemal magiczną i pełną nadziei. A do chwili narodzin dziecka mogło wydarzyć się wiele.

Spojrzała na zegarek i z niepokojem zmarszczyła czoło. Uprzytomniła sobie, że jeśli się nie pospieszy, nie zdąży do pracy na swoją zmianę. Szybko przeczesła długie włosy i na czubku głowy przewiązała je żółtą wstążką. Na cienki, też żółty strój kelnerki nałożyła gruby, biały sweter, bo na sali restauracyjnej bywało zimno. Sięgnęła po płaszcz.

Zamykając za sobą drzwi, uświadomiła sobie, że będzie robiła to jeszcze tylko przez dwa tygodnie. Właściciel budynku eksmitował równocześnie wszystkich lokatorów. Jeszcze przed Bożym Narodzeniem zamierzał przekształcić dom w spółdzielnię.

Doktor Reed Atchison był w podłym nastroju. Nic dziwnego, skoro zasnął, zaciął się przy goleniu, wpadł w poślizg na oblodzonej drodze i wjechał w zaspę. Potem nie udało mu się w porę skrócić, tak że spóźnił się do pracy.

Wszystko to działo się z samego rana. Później musiał rozstrzygnąć spór między dwiema młodymi dietetyczkami, jak ustawić żywienie jednego z pacjentów, a także wyjaśnić kobiecie, przekonanej, że ma złośliwego guza, iż gastryczne dolegliwości są spowodowane tym, że jej organizm nie toleruje laktozy. Ostatnie cztery godziny spędził na sali operacyjnej. Był zmęczony i bardzo głodny. Jakby tego nie było dość, na oddziale panowała ożywiona, przedświąteczna atmosfera. Na samą myśl o Bożym Narodzeniu robiło mu się niedobrze.

W tej chwili do szatni, z której korzystali chirurdzy całego Szpitala Ogólnego, wpadł doktor Seth Mahoney. Jak zawsze wesoły i roześmiany. Promienny i miły, co dziś jeszcze bardziej niż zwykle rozdrażniło Reeda Atchisona.

To, że obaj zostali przyjaciółmi, było rzeczą całkowicie niezrozumiałą, bowiem pod każdym względem stanowili absolutne przeciwieństwo. Reed, brunet o brązowych oczach i ostrych, surowych rysach twarzy, niczym nie przypominał Seta, niebieskookiego blondyna o chłopięcym wyglądzie. Mieli odmienne poglądy i podejście do życia. A także usposobienia. Kardiochirurg, doktor Atchison, był pesymistą, a neurochirurg, doktor Mahoney, niepoprawnym optymistą.

- O, jesteś! Dzięki Bogu! - na widok Reeda wykrzyknął Seth. - Dopiero co skończyłem operować i jestem głodny jak wilk. Pójdiesz ze mną na kolację?

- Chyba nie mam innego wyjścia - mruknął Reed. Włożył wytarte dżinsy i buty. Na podkoszulek naciągnął beżowy sweter. Przeczesał palcami włosy i potarł dłonią brodę z jednodniowym zarostem. - Ale chodźmy do jakiejś zwykłej knajpy, tak żeby się naprawdę odprężyć. Nie mam ochoty na żadną elegancką restaurację. Znów musiałbym się przebierać.

Seth ściągnął przez głowę szpitalną bluzę i wrzucił ją do kosza na brudną bieliznę. Potem pozbył się spodni i w samych bokserkach podszedł do szafki.

- Możemy sprawdzić, jak karmią przy Haddonfield Road, w restauracji „U Evie”. Dwie pielęgniarki jadły tam wczoraj kolację i były bardzo zadowolone.

- Zgoda. - Reed usiadł, czekając, aż Seth skończy się ubierać. - Zjem wszystko, co podadzą. Byleby dużo, bo też jestem piekielnie głodny.

Popatrzył na przyjaciela. Taki młody, a już świetny w swoim fachu, pomyślał. Mimo że sam miał zaledwie trzydzieści siedem lat, przy młodzieńczym Secie uważał się

niemal za starca. Doktor Mahoney był swego czasu cudownym dzieckiem. Wcześniej skończył szkołę średnią, a potem bez problemów zaliczył studia medyczne i trzyletni staż. Miał teraz dwadzieścia siedem lat i spore doświadczenie zawodowe.

Inaczej układało się życie Reeda, aczkolwiek w oczach postronnego obserwatora zajmował on zawsze wysoce uprzywilejowaną pozycję społeczną. Pochodził z najlepszej linii Atchisonów, rodziny starej i od pokoleń bogatej. Przodkowie Reeda dorobili się na stali i ropie naftowej, a ponadto byli niezwykle oszczędni. Ciułąli każdy grosz, tak jakby byli przymierającymi z głodu biedakami.

Reed nadal mieszkał w rodowej siedzibie w Ardmore, w domu zbyt dużym dla samotnego, zatwardziałego starego kawalera. Posiadał też elegancki apartament w samej Filadelfii, przy Cherry Hill, znacznie bliżej szpitala. Z tego w y - godnego lokum korzystał wtedy, kiedy był zbyt zmęczony, by wracając z pracy, przejeżdżać przez całe miasto.

Zdawał sobie sprawę, że po śmierci rodziców powinien sprzedać podmiejską rezydencję. Komu miałby przekazać ją w spadku? Przecież nie zamierzał pozostawiać po sobie potomków.

Od pokoleń Atchisonowie byli nie tylko ludźmi majątnymi i ustosunkowanymi, lecz także wyrachowanymi, zimnymi, zamkniętymi w sobie i obojętnymi. Reedowi od dzieciństwa nie zbywało na dobrach doczesnych. Uczęszczał do najlepszych szkół, nosił wytworne ubrania, jeździł drogimi samochodami i spędzał wakacje w najmodniejszych kurortach. Ale jego życie było całkowicie pozbawione uczucia i ciepła.

Kiedy teraz to sobie uprzytomnił, z niezadowoleniem zmarszczył czoło. Skąd przyszły mu do głowy takie idiotyczne myśli? Nigdy nie łaknął ciepła ani serdeczności. Wszelkie oznaki uczuć uważał za dowód słabości.

Z tego zapewne powodu jego emocjonalne życie nie było zbyt bogate, a, prawdę powiedziawszy - żadne. Niemal z całkowitą obojętnością traktował sprawy seksu, mimo że jak każdy normalny mężczyzna miał potrzeby fizyczne. Nie lubił towarzyskich spotkań, ale też nie żył jak mnich. Niestety, prawie wszystkie jego związki kończyły się z tego samego powodu - okazywał zbyt małe zainteresowanie seksualnym partnerkom.

Prowadził spokojne, unormowane życie i był z tego zadowolony. Dlaczego miałyby się z kimś wiązać? Po co mu czułości jakiejś rozhisteryzowanej kobiety?

Reed Atchison głęboko westchnął. Robił się sentymentalny przed Bożym Narodzeniem. Rodzinne święta. Wszyscy wokoło bez przerwy mówili na ten temat. W telewizji pokazywano ckliwe sceny spotkań po latach rozłąki. Gdzie tylko się odwrócił, składano mu życzenia wesołych i szczęśliwych świąt!

Tak jakby mógł mieć szczęśliwe święta. Lub udane rodzinne życie. Reed Atchison z niechęcią wzruszył ramionami. Tego rodzaju rozmyślenia nie prowadziły do niczego dobrego.

- Hej, kolego, wyglądasz tak, jakbyś potrzebował uścisku czulej kobiety.

Słowa mocno ubodły Reeda. Zobaczył, że Seth się śmieje.

- Przestań się wygłupiać - warknął rozzłoszczony.

Podniósł się z miejsca. Był znacznie wyższy niż Seth i solidniej zbudowany. Uświadomienie sobie tego faktu sprawiło mu przyjemność.

- Masz tak ponurą minę, jakbyś przed chwilą stracił najlepszego przyjaciela - stwierdził rozbawiony Seth.

- Tylko mnie nie prowokuj - pół żartem, pół serio ostrzegł Reed.

Pogodny Seth nie podjął wyzwania.

- Rozchmurz się. Przecież zbliża się Boże Narodzenie.
 - Boże Narodzenie - jak echo powtórzył Reed. - Jeszcze jeden powód, aby człowiek czuł się podle.
 - Nigdy nie spotkałem faceta, który tak jak ty nie znosi żadnych świąt - zauważył Seth. - To nienormalne. Muszę wydobyć z ciebie jakieś ludzkie cechy.
 - Czeka cię bardzo ciężka praca.
 - To żaden problem. Od czego jestem chirurgiem? Wiem, co tkwi w człowieku.
- Co we mnie tkwi? Reed zamyślił się na chwilę.
- Między nami istnieje duża różnica - mruknął do przyjaciela.
 - Tylko jedna?
 - Dla ciebie szklanka wody jest zawsze w połowie pełna, a dla mnie w połowie pusta. To miałeś na myśli?
 - Mniej więcej - odparł Seth. - Staram się widzieć dobre strony naszej egzystencji. To pomaga radzić sobie ze złymi.
 - Och, zaraz powiesz, że dobro zwycięża zło - mruknął Reed. - Mimo że wokoło widzisz wszędzie ubóstwo, nienawiść, terroryzm, wojny...
 - A także miłość, honor, naukę, sztukę, piękno... - zaczął wymieniać Seth.
- Reed nie zamierzał łatwo się poddać.
- Choroby, śmierć, zbrodnie, narkotyki... - wyliczał dalej.
 - Muzykę, słodycze... - ciągnął Seth.
 - Dobrze, już dobrze - przerwał mu Reed. - Niech każdy z nas pozostanie przy swoim zdaniu.
 - Nie ma mowy - zaprotestował Seth. Zdumiony Reed spojrział na przyjaciela.
 - Nigdy przedtem nie oponowałeś.
 - Fakt. Ale mamy okres przedświąteczny. Najlepsza pora roku, by skoncentrować się na tym, co dobre. Powiem szczerze, ten twój bezustanny pesymizm już okropnie mnie

zmęczył. - Reed otworzył usta, lecz przyjaciel nie dał mu dojść do słowa. - Dzisiaj dowiodę ci, że to ja mam rację.

- W jaki sposób? - podejrzliwie zapytał Reed.

- Uważasz, że w ludziach przeważają złe cechy?

- Tak.

- Założę się, że się mylisz. Reed uśmiechnął się pobłaźliwie. Lubił zakładać się z Sethem, bo zawsze wygrywał.

- Co zyskasz, jeśli przegram? I jak, do licha, zamierzasz udowodnić coś tak abstrakcyjnego?

- Nadchodzi Boże Narodzenie. Ludzie stają się lepsi.

- Nic podobnego, nadal nawzajem się nienawidzą. Na każdym kroku walczą ze sobą.

- Mylisz się - oświadczył Seth. - Założę się, że w ciągu najbliższych kilku godzin po opuszczeniu szpitala będziemy świadkami jakiegoś całkowicie bezinteresownego, spontanicznego aktu dobrej woli. Razem spędzimy resztę wieczoru i przekonasz się, że życie nie jest pasmem udręk.

- Mamy przed sobą niespełna pięć godzin - stwierdził Reed, spoglądając na zegarek. - Jesteś, jak zwykle, niepoprawnym optymistą.

- Przekonasz się że wygram - oświadczył rozweselony Seth. - A jeśli nie, to zafunduję ci letni urlop w Szkocji. Luksusowy. Z golfem. Pojedziemy obaj. Nie zapłacisz ani grosza.

- Dorzucisz do tego butelczynę przedniej whisky? - po krótkim namyśle zapytał Reed.

- Zgoda. Ale jeśli ja wygram, ty zrobisz dobry uczynek. Osobiście i całkowicie bezinteresownie.

- Tylko tyle?

- Mówisz tak, jakby zrobienie komuś przysługi nic nie kosztowało.

- Bo tak jest - oświadczył Reed.

- Wobec tego dlaczego do tej pory nigdy nie było cię stać na żaden akt dobrej woli? - bez urazy w głosie zapytał Seth.

Reed nie wiedział, co powiedzieć. Usiłował przypomnieć sobie jakiś własny dobry uczynek. Spontaniczny i całkowicie bezinteresowny. Niestety, nic takiego nie przychodziło mu na myśl...

Nie był przeciwnikiem pomagania bliźnim, ale nie wierzył w skuteczność takiego działania. Czyżby był złym człowiekiem? zapytywał sam siebie. Przecież zależało mu na losie innych ludzi.

- Ja... - zaczął niepewnym głosem i zamilkł.

- Co: ty?

- Przyjmuję warunki zakładu - oświadczył Reed niezbyt pewnym głosem. - Oczywiście, w razie gdybym przegrał, co jest całkowicie niemożliwe - dodał szybko - dorzucę jeszcze butelczynę.

Seth skinął głową.

- Umowa stoi. Wobec tego ruszajmy na kolację.

ROZDZIAŁ DRUGI

Pod koniec kolacji, kiedy obsługiwani przez nią goście zaczęli rozchodzić się do domów, Mindy była tak zmęczona, jak nigdy w życiu. Czytała gdzieś, że w drugiej fazie ciąży kobiety cechuje nadmiar energii. Czują się niezwyciężone i silne.

Niestety, jej to nie dotyczyło. Była w fatalnej formie.

- Mindy, odbierz zamówienie!

Z ciężkim westchnieniem podniosła się z krzesła, na którym na chwilę przysiadła, licząc na odrobinę wytchnienia.

Kiedy w otwartych drzwiach ukazali się dwaj nowi goście, do restauracji wdarł się z ulicy silny podmuch lodowatego wiatru. Mindy szybko otuliła się swetrem. Ostatnio ciągle była zmęczona i bezustannie marzła.

Stała na palcach, by z parapetu kuchennego okna zdjąć kanapkę i frytki. Położyła je na tacy i sięgnęła po sałatkę z kurczaka. Kiedy szła przez salę, jeden z gości podniósł rękę, by zwrócić na siebie jej uwagę. Podała zamówione dania, i z ołówkiem w ręku podeszła do nowo przybyłego.

Na jego widok uśmiechnęła się odruchowo. Stary człowiek przypominał Świętego Mikołaja, tyle że okropnie wychudzonego. Miał na sobie zniszczoną marynarkę, wełniane podarte rękawiczki i nauszniki.

Biedaczysko, ze współczuciem pomyślała Mindy. Musiał okropnie zmarznąć i pewnie nie miał gdzie schronić się przed zimnem. Jeszcze raz podziękowała Bogu, że sama ma na razie dach nad głową, i obdarzyła gościa serdecznym uśmiechem.

- Czym mogę panu służyć? - spytała. Odwzajemnił uśmiech. Mimo że zmarznięty, męczyzna promieniował wewnętrznym ciepłem.

- Obchodzę małą uroczystość - obwieścił z namaszczeniem.

- To miło. Z jakiej okazji?

- Dziś są moje urodziny - stwierdził radosnym tonem.

- Proszę przyjąć najlepsze życzenia. Stuknęła panu trzydziestka? - zażartowała Mindy.

- Dziś kończę osiemdziesiąt lat - odparł gość. - Może pani to sobie wyobrazić? Osiemdziesiąt lat!

- Nie do wiary! - wykrzyknęła Mindy, dotykając ramienia starego człowieka. - A ja myślałam, że jeśli zamówi pan piwo, będę musiała sprawdzić, czy jest pan pełnoletni.

Staruszek roześmiał się ponownie.

- Alkoholu nie tykam, ale chętnie spróbuję waszego chili. Słyszałem, że jest dobre.

- Tak - potwierdziła Mindy, notując zamówienie. - Robimy je według przepisu, który Evie odziedziczyła po babce. Co jeszcze panu podać?

Uśmiech na twarzy starca nieco przybladł.

- Proszę o szklanekę wody. To mi wystarczy.

Mindy chciała zaprotestować, przypomnieć gościowi, że to jego urodziny, lecz uprzytomniła sobie, iż porcja chili była wszystkim, na co biedak mógł sobie pozwolić. Pewnie długo na nie oszczędzał.

Uśmiechnęła się jeszcze raz i zatknęła ołówek za ucho.

- Zaraz przyniosę wodę - obiecała.

I nie tylko wodę. Powzięła decyzję. Idąc do kuchennego okna, wsunęła rękę do kieszeni, w której zabrzęczały drobne monety. Miała dobry dzień, mimo że był to poniedziałek. Dzięki pobliskiemu centrum handlowemu, a także szpitalowi, do restauracji „U Evie” bezustannie napływały tłumy gości. Dzisiaj Mindy dostała prawie dwadzieścia dolarów napiwków, co stanowiło istotny dodatek do skromnej pensji. Uznała, że stać ją na urodzinowy prezent dla starego człowieka.

Do chili dopisała dodatkowe pozycje i położyła kartkę na kuchennym parapecie.

- Tom, zamówienie! - zawołała do kucharza, a potem podeszła do dzbanka z kawą. Zamierzała poczęstować starego człowieka kubkiem gorącego napoju.

- Ta firmowa kanapka wygląda całkiem apetycznie. Jak sądzisz?

Reed mruknięciem potwierdził opinię Seta. Całą uwagę skupił jednak nie na karcie potraw, lecz na drobnej, zmęczonej blondynce, obsługującej stoliki po drugiej stronie sali. Mimo że w niezbyt zaawansowanej ciąży, kelnerka ledwie trzymała się na nogach. Reedowi wydawało się, że mógłby ją przewrócić następny podmuch wiatru, wdzierający się przez otwarte drzwi. Ledwie powstrzymał się, żeby nie krzyknąć na wchodzących gości, by szybko zamknęli je za sobą, lub zerwać się z krzesła i zrobić to samemu.

Kiedy po raz drugi spojrzął na młodą kobietę, zobaczył, że przysiadła na krześle. Zaprzagnął, żeby nowi klienci wybrali stół obsługiwany przez jej koleżankę, tak aby mogła choć trochę odpocząć, i wreszcie wziął do ręki kartę potraw.

Był tak głodny, że zjadłby byle co.

Zobaczył, że nowi goście usiedli w rewirze bladej dziewczyny. Ruszyła w ich kierunku.

Chyba jeszcze nigdy nie widział tak słabowitej osóbkę. Lekarki i pielęgniarki, które widywał na co dzień, należały do najsilniejszych kobiet, jakie znał, zarówno pod względem fizycznym, jak i psychicznym. A wszystkie przedstawicielki płci żeńskiej w jego rodzinie ze strony obojga rodziców były twarde jak stal. Pod każdym względem.

Może właśnie dlatego nie potrafił oderwać oczu od jasnowłosej kelnerki. Zaprzagnął nagle zaopiekować się tą młodą kobietą. Była jednak osobą zupełnie mu obcą i być może wcale nie tak słabą, na jaką wyglądała.

A mimo to...

Aczkolwiek ciężarna i zmęczona, poruszała się dość szybko i sprawnie. Reed zauważył, że przyjmując zamówienia uśmiecha się do gości. Zatrzymała się na dłużej, śmiejąc się i żartując, przy stoliku starego człowieka, wyglądającego na nędzarza.

Reed nie mógł oderwać wzroku od młodej kobiety. Bardzo chciałby jakoś jej ulżyć.

Ale dlaczego?

Pewnie dlatego, że była ładna. Widocznie dawały o sobie znać jego hormony. Nie, nie tylko z tego względu. Często przecież nie zwracał uwagi na kobiety znacznie ładniejsze i o wiele lepiej ubrane.

Do stolika obu lekarzy podeszła inna kelnerka. Jak wynikało z przyklepionej nad biustem plakietki, miała na imię Donna.

- Zdecydowałem się na francuski sos - oznajmił Seth.

Reed poprosił o kanapkę firmową oraz o kawę. Zamierzał zamówić jeszcze porcję smażonych krążków cebulki, gdy z drugiej strony sali dobiegł ich głośny śmiech.

- Wróć za chwilę - powiedziała Donna i już jej nie było.

Dołączyła do innych kelnerek, kasjerki, gońca i kucharzy, którzy obstąpili stolik nędznie ubranego starego człowieka. Rozbrzmiała urodzinowa piosenka.

Na twarzy starca pojawił się szeroki uśmiech, a oczy mężczyzny zaszły łzami.

Rozczulili go pracownicy restauracji, wyśpiewując urodzinowe życzenia? zdumiał się Reed. W oczach Setna też lśniły łzy wzruszenia.

Co za idiotyczna, sentymentalna scena, pomyślał Reed z niesmakiem.

- Czemu do nich nie dołączysz? - zapytał kąśliwie przyjaciela.

- Może to zrobię, jeśli zaśpiewają jeszcze raz - odparł spokojnie Seth.

- Twoje serce bije przyspieszonym rytmem.

- To znak, że je mam. Był to wyraźny przytyk pod adresem Reeda. Całkowicie uzasadniony. Od pokoleń żaden z Atchisonów nie kierował się odruchami tego organu.

- Dlaczego specjalizowałeś się w neurologii, a nie w kardiochirurgii? - spytał kwaśno Reed przyjaciela.

- Czysta ironia losu - przyznał Seth. - I pomyśleć, że właśnie ty zostałeś kardiochirurgiem... Otwierasz serca, aby zobaczyć, jak biją. Pewnie chcesz się dowiedzieć, co zrobić, aby uruchomić własne.

Reed popatrzył z wyrzutem na przyjaciela.

- Wygadujesz obrzydliwe rzeczy.

- Wreszcie coś do ciebie dociera. Jak widzę, zacząłeś zastanawiać się nad własnym postępowaniem - stwierdził Seth. - To bardzo dobrze.

Rozmowę przerwał powrót Donny.

- Co przynieść? Kawę? A może piwo? Reed właśnie zamierzał poprosić o porcję smażonych krążków cebulki, gdy zaciekawiony Seth zapytał kelnerkę:

- Co działo się przy tamtym stoliku?

- To jeszcze jeden dobry uczynek Mindy. Ta dziewczyna ma złote serce.

- Dobry uczynek? Złote serce? - odruchowo powtórzył Reed, przypomniawszy sobie wcześniejszą rozmowę z Sethem.

- Tak.

- Kto to jest Mindy? - zapytał kelnerkę.

- Chodząca dobroć - bez chwili namysłu oświadczyła Donna, wskazując drobną postać krążącą po sali kelnerki, będącej od dłuższego czasu przedmiotem zainteresowania Reeda. - W zeszłym roku spłonął jej dom, zabił się mąż i

Mindy została bez grosza. A teraz wyrzucają ją z mieszkania. Jest w piątym miesiącu ciąży, nie ma gdzie się podziąć i zarabia niewiele. A mimo to zafundowała tamtemu staruszkowi przyzwoitą kolację, bo to jego osiemdziesiąte urodziny. Wspaniała dziewczyna!

- Rzeczywiście postąpiła szlachetnie - przyznał Seth. Reed wiedział, do czego zmierza przyjaciel.

- To chyba jej dziadek lub ktoś z rodziny - wtrącił niepewnym głosem.

- Wcale nie - zaprzeczyła Donna. - Nigdy go przedtem nie widziała. To z pewnością bezdomny, który na co dzień żywi się resztkami ze śmietników.

- Wcale go nie znała? - chciał się upewnić Seth.

- Przyszedł tu i zamówił chili, aby uczcić swoje urodziny. Mindy z własnych napiwków kupiła mu kawę, kanapkę z wołowiną i kawałek ciasta.

- Naprawdę?

- Naprawdę. Reed chrząknął, chcąc przerwać niewygodną dla niego rozmowę.

- Czy może pani przekazać nasze zamówienia? - zapytał.

- Tak. Oczywiście. Już idę. Zanim Reed zdążył poprosić o nieszczęsną cebulkę,

Seth trącił go w łokieć.

- Mindy to chyba wspaniała kobieta - powiedział.

- Przecież mówiłam. - Donna wzruszyła ramionami i odeszła od stolika.

- Słyszałeś? - spytał Seth.

- Jasne. Mam dobry słuch - mruknął Reed.

- Mindy to osoba o wielkim sercu.

- Podobno jest w ciąży. Pewnie odezwał się w niej instynkt macierzyński.

Reed wiedział, że jest przegrany. Dzisiaj Sethowi dopisało wyjątkowe szczęście. A więc nici z urlopu w Szkocji i z

dobrej whisky. Najgorsze jednak było to, co go teraz czekało. Miał zrobić dobry uczynek.

- Wygrałeś - przyznał ze skwaszoną miną. - Czy mogę wypisać czek dla Armii Zbawienia?

- Jasne, że możesz. Ale sianem się nie wykrecisz. Musisz osobiście zrobić coś dobrego. Czek będzie dodatkiem.

- W porządku.

- A czy wiesz, komu przydałaby się teraz twoja pomoc? - spytał Seth.

- Wiem. Pewnie chodzi ci o Mindy.

- Jest ciężarna i zostaje bez dachu nad głową. I to na trzy tygodnie przed Bożym Narodzeniem. Możesz wyobrazić sobie coś równie okropnego?

- Mogę. - Reed zmarszczył czoło. - Przecież to ja spodziewam się zawsze po ludziach wszystkiego najgorszego. Czyżbyś o tym zapomniał?

- Miewasz rację - przyznał Seth - choć rzadko. Wróćmy jednak do sprawy tej kelnerki...

- Wolałbym tego nie robić - mruknął Reed. - No dobrze, jeśli tak się upierasz, wypiszę jej czek.

- Nic z tego. Chodzi o dobry uczynek - przypomniał mu Seth. - Świetnie wiesz, o czym mówię. - Odwrócił się w stronę sali i głośno zawołał: - Mindy! Prosimy do nas, Mindy!

Drobna blondynka wydawała się zaskoczona. Z bliska wyglądała na jeszcze bardziej zmęczoną.

Jako lekarz Reed wiedział, że niektóre kobiety źle znoszą ciążę i, podobnie jak Mindy, chodzą ledwie żywe.

- Czym mogę panom służyć? - spytała.

Miała dwadzieścia kilka lat, ocenił. Była wdową. Wielką tragedię przeżyła więc niedawno, zważywszy na to, że jej ciąża była ledwie widoczna. A teraz eksmitowano ją z mieszkania. Reed uznał, że nie jest to w porządku. Drobna kelnerka zasługiwała na lepszy los.

- Obaj z przyjacielem słyszeliśmy wasze śpiewane życzenia urodzinowe - pierwszy odezwał się Seth. - Podobno pani to zorganizowała.

- Pan McCoy właśnie skończył osiemdziesiąt lat. - Mindy wyraźnie się ożywiła. - Czy to nie wspaniale? I pomyśleć, że przeżył tak wiele. Tyle różnych epok. Lata dwudzieste, wielki kryzys, drugą wojnę światową, podróż w kosmos, zimną wojnę, Wietnam...

- A także erę muzyki disco - żartobliwym tonem dodał Seth.

Mindy skinęła głową.

- W tym czasie wydarzyło się mnóstwo rzeczy. I pan McCoy je wszystkie pamięta. Zdumiewające.

- Ma pani rację - przytaknął Seth, wpatrzony w młodą kobietę, która się do niego uśmiechała.

Reed uznał ponownie, że jest ładna. Nie była jednak w jego typie. Interesowały go wyłącznie kobiety silne. Postanowił przerwać tę dziwaczną i niezręczną rozmowę.

- Proszę wybaczyć memu przyjacielowi - zwrócił się do stojącej obok kelnerki. - On łatwo wpada w euforię.

Mindy skinęła głową, mimo że nie miała pojęcia, o czym mówi Reed. Była wyraźnie zmieszana.

- Przepraszam, ale muszę obsłużyć innych gości - powiedziała szybko, odwracając się od stolika.

- Niech pani nie odchodzi! - zawołał Seth. Spojrzała na niego znużonym wzrokiem.

- Coś jeszcze? Przyślę Donnę.

- Nie, proszę zostać. Tu obecny doktor Atchison zaraz złoży pani propozycję nie do odrzucenia. - Seth spojrzał znacząco na Reeda. - Przyjacielu, oddaję ci głos.

Najpierw spojrzała na blondyna, a potem na jego ciemnowłosego towarzysza. Byli zupełnie do siebie niepodobni. Przy wesołym jasnowłosym mężczyźnie od razu

poczuła się swobodnie. Obaj byli na swój sposób atrakcyjni fizycznie, ale bardziej pociągał ją ponury szatyn. Mimo że Sam Harmon miał jasną cerę i niebieskie oczy, Mindy zawsze miała słabość do ciemnowłosych i dobrze zbudowanych mężczyzn.

Obcy mężczyzna o pochmurnych oczach wcale jej nie onieśmielał. Poczowała do niego dziwną sympatię. Był miły? Nie. Dobroduszny? Też nie. Mimo to miał w sobie coś, co ją pociągało. Czekwała więc, co będzie dalej. Ponurak milczał.

Jasnowłosa mężczyzna odezwał się ponownie:

- Przedstawiam pani mego przyjaciela, doktora Reeda Atchisona ze Szpitala Ogólnego. A ja nazywam się Seth Mahoney. Też jestem lekarzem. Mindy, przed chwilą pomogła nam pani rozwiązać pewien problem. Nasza wizyta w tej restauracji okazała się bardzo owocna, mimo że nie dostaliśmy jeszcze nic do jedzenia.

- Ani do picia. Nawet kawy - mruknął ciemnowłosa, ponury Reed Atchison.

- Zaraz pójdę po Donnę - zaofiarowała się Mindy, chcąc jak najszybciej umknąć od stolika.

- Proszę zostać - nadal zatrzymywał ją doktor Seth Mahoney.

- Przepraszam, ale mam dużo roboty. - Mindy westchnęła.
- A w ogóle to nie wiem, do czego zmierza ta rozmowa.

- Rozumiem. - Blondyn skinął głową. - Spotkajmy się, gdy skończy pani pracę. - Spojrzał na swego towarzysza. - Czy to ci odpowiada?

Doktor Atchison mruknął coś pod nosem.

- Co mówiłeś? - dopytywał się Mahoney.

- Tak - warknął jego towarzysz.

- Będę dziś długo pracowała... - zaczęła protestować Mindy.

- Poczekamy. Nie mamy nic lepszego do roboty - zapewnił ją blondyn.

Do stolika lekarzy podeszła Donna z kawą.

- Idź usiąść - powiedziała do koleżanki. - Odsapnij chwilkę. Zajmę się twoimi stolikami. Gości jest coraz mniej. A ty musisz dbać o dziecko, które nosisz w brzuchu.

- Donno, jak możesz trąbić o tym na prawo i lewo! - skarciła ją Mindy i zaczerwieniła się.

- Nic się nie stało. - Druga z kelnerek wzruszyła ramionami. - Panowie wiedzą, że wpadłaś, i na dodatek jesteś bezdomna.

- Wcale nie wpadłam - zaprotestowała Mindy. - Oboje z Samem chcieliśmy tego dziecka... A zresztą to nieważne. - Zdobyła się na nikły uśmiech. - Ale nie opowiadaj nikomu więcej o moich sprawach. Bardzo cię proszę!

- Jak chcesz. - Donna wzruszyła ramionami i spojrzała na obu lekarzy. - Panowie, nigdy wam nie mówiłam, że mąż Mindy był notorycznym pijakiem i że zdradzał ją na prawo i lewo. Prawda?

- Tak - potwierdził doktor Mahoney, podnosząc wzrok i spoglądając na drobną blondynkę. - Pani koleżanka nigdy nam o tym nie mówiła.

- A widzisz? - Donna z satysfakcją popatrzyła na obu lekarzy. Odwróciła się i poszła w stronę kuchni, zostawiając nieszczęsną koleżankę na pastwę dziwnych gości.

- Och... - Mindy podniosła rękę do czoła. Opuściła powieki. - Robi mi się słabo.

- Proszę usiąść. Po chwili otworzyła oczy i zobaczyła stojącego przed sobą doktora Atchisona. Patrzył gniewnie na swego towarzysza.

- To twoja wina - powiedział oskarżycielskim tonem.

- Co ja takiego zrobiłem? - zdziwił się drugi z lekarzy. - O czym ty mówisz?

- Wprawiliś panią w zakłopotanie.
- Nie ja, tylko Donna.
- Ty zacząłeś tę bezsensowną rozmowę.
- Ale...
- Jak mogłeś tak się zachować i to przy ciężarnej kobiecie?

- Reed, co w ciebie wstąpiło? Nigdy nie...
- Powinniśmy zostawić panią w spokoju.
- Ale...
- To miła dziewczyna. Sam tak powiedziałeś.
Powinniśmy więc...

Mindy miała już tego serdecznie dość.

- Przepraszam! - Była zmuszona podnieść głos, by przerwać głośnie sprzeczkę, której sensu nie pojmowała, a którą zainteresowali się już pozostali goście.

Na szczęście obaj lekarze wreszcie zamilkli i popatrzyli nieco nieprzytomnie na Mindy.

Podniosła się z krzesła i stanęła obok doktora Atchisona, wcale nie speszona jego potężną posturą.

- Proszę mi wybaczyć, ale muszę wracać do pracy - oświadczyła stanowczo.

- Porozmawiamy później - powiedział doktor Mahoney, gdy szykowała się do odejścia.

- Nic z tego nie będzie - zapewniła zdecydowanie.

- Porozmawiamy - z uporem powtórzył blondyn.

ROZDZIAŁ TRZECI

Godzinę później Mindy siedziała przy stoliku w towarzystwie dziwnych lekarzy. Nie miała pojęcia, jak to się stało, że udało im się namówić ją na deser i szklanek mleka. Seth Mahoney, którego prawie od razu przestała tytułować „doktorem”, okazał się bezpośredni i sympatyczny. Mindy szybko uległa jego urokowi.

Szczerze jednak powiedziawszy, mężczyzną, który już na pierwszy rzut oka zrobił na niej ogromne wrażenie i któremu nie potrafiłaby się oprzeć, był Reed Atchison. W przeciwieństwie do Setha był spokojny, skryty i zachowywał dystans. Zamyślony, zdawał się rozważać jakąś ważną i niewesołą sprawę, co mocno zaintrygowało Mindy. Teraz, gdy poznała sekret obu lekarzy, starała się zrozumieć, o co w tym wszystkim chodzi.

- A więc założyliście się o to, czy dziś wieczorem spotkacie kogoś, kto spełni jakiś dobry uczynek - podsumowała. - Mam rację?

- Tak - potwierdził Seth.

- A pan - zwróciła się do Reeda - uznał takie zdarzenie za nieprawdopodobne, prawda?

- Aha - mruknął.

- Ma pan kiepską opinię o ludziach - skomentowała.

- Nie powiedziała pani niczego nowego. Mówiono mi to wielokrotnie - wymamrotał nachmurzony Reed.

Mindy miała przed sobą człowieka, który, jej zdaniem, za wszelką cenę pragnął uchodzić za malkontenta. Dlaczego? No cóż, jeszcze jedna zagadka do rozwiązania.

- Dowiedzieliście się, że zafundowałam kolację panu McCoyowi, i uznaliście to za dobry uczynek.

- Tak - ponownie potwierdził Seth. - I mój przyjaciel przegrał zakład. Teraz sam musi zdobyć się na akt dobrej woli - dodał z entuzjazmem w głosie.

- Nadal nie rozumiem, po co jestem panom potrzebna - oświadczyła Mindy.

- Uznaliśmy, że pani szlachetny postępek powinien zostać wynagrodzony - poinformował ją Seth. - Przez Reeda.

- To zbędne. - Mindy wzruszyła ramionami.

- Niech pani wysłucha propozycji - dodał szybko Seth. - Na pewno się pani spodoba. Mów wreszcie, co obmyśliliśmy - zwrócił się do przyjaciela.

Reed nie miał pogodnej miny i głęboko westchnął. Mindy jeszcze nigdy w życiu nie widziała takiego ponuraka. A raczej kogoś, kto chciałby za takiego uchodzić, bo Mindy czuła, że gdzieś w środku pan doktor był człowiekiem ciepłym i serdecznym. Uznała, że Atchison stanowi nadzwyczajne i bardzo interesujące połączenie przeciwieństw. Chciała bliżej go poznać.

Zapra gnęła...

Nie, nie pragnęła niczego. Przecież dziś po raz pierwszy i ostatni widziała tego człowieka. A gdyby nawet jeszcze się kiedyś spotkali, nie miałyby to żadnego znaczenia.

Ciężarna kelnerka, która ledwie wiązała koniec z końcem, nie mogła mieć nic wspólnego z dobrze sytuowanym lekarzem. Dzielili ich zbyt duża przepaść.

Mieli ponadto całkowicie odmienne usposobienia. Ona lubiła pomagać ludziom i wychodzić im naprzeciw, podczas gdy doktor Atchison chyba w ogóle nie wierzył w dobre uczynki.

Reed nabrał głęboko powietrza.

- Lada dzień czeka panią eksmisja. Proponuję, aby zamieszkała pani u mnie.

- Co takiego? - spytała z wyraźnym niesmakiem. Zdumiony reakcją Mindy, wyjaśnił:

- Może pani zamieszkać w moim apartamencie. Tu, przy Cherry Hill. Będzie pani miała blisko do pracy.

Przez dłuższą chwilę zaskoczona Mindy wpatrywała się w Reeda. Wyglądał na przyzwoitego człowieka, a okazał się łajdakiem. Widocznie miała pecha do tego typu mężczyzn. Żeby się uspokoić, policzyła w myślach do dziesięciu.

- Wszystko jasne - oświadczyła suchym tonem. - Każdy dobry uczynek uderza w nas rykoszetem. A więc muszę ponieść karę.

Zdziwiony Reed zmarszczył czoło.

- O czym pani mówi? - zapytał.

- Ostatnią rzeczą, na jaką mam ochotę, to zostać czyjąś... utrzymanką. - Mindy z obrzydzeniem niemal wypluła ostatnie słowo.

- Utrzymanką? Co, do licha, pani sobie wyobra...? Dalsze słowa Reeda zagłuszył wybuch śmiechu Setha.

- Reed chce, żeby została pani jego utrzymanką! To genialne! Nie mogę się doczekać, żeby opowiedzieć o tym w szpitalu naszym pielęgniarcom.

Skonsternowana Mindy spojrzała na Reeda.

- Przecież to miał pan na myśli. Mam rację?

- Absolutnie nie. Bardzo panią przepraszam, pani Harmon.

- Mam na imię Mindy - przypomniała kelnerka.

- Powinienem nieco inaczej sformułować swoją propozycję - oświadczył ponuro.

Jak mogła pomyśleć sobie coś takiego? Reed poczuł się ogromnie zakłopotany. Miałby wykorzystywać seksualnie obcą kobietę i do tego ciężarną? Skąd przyszło jej to do głowy? Uważała go za desperata czy zbrojeńca?

- Na stałe mieszkam poza Filadelfią - wyjaśnił - ale mam jeszcze apartament przy Cherry Hill, z którego rzadko korzystam. W każdej chwili może pani tam zamieszkać. Podejrzewam, że trudno jest coś wynająć o tej porze roku.

- Tak - przyznała Mindy. - Muszę się wyprowadzić, ale jakoś sobie poradzę. Jak zawsze.

- A jeśli tym razem okaże się, że jest inaczej... ?

- To wtedy będę się martwić.

- Chyba byłoby lepiej przyjąć moją propozycję.

- Nie mogę. Powiedział pan, że czasami korzysta z tego mieszkania.

- Tak. Gdy pracuję zbyt długo lub gdy pada śnieg i drogi są trudno przejezdne...

- Wtedy możesz przespać się u mnie - do rozmowy włączył się Seth.

Nie rozwiał jednak wątpliwości Mindy.

- To chyba nie jest dobry pomysł - stwierdziła. Dlaczego odrzuca moją propozycję? zastanawiał się

Reed.

- Pani Harmon, proszę zrobić mi tę grzeczność - powiedział. - Będę czuł się lepiej, wiedząc, że ktoś tam mieszka.

- To ładny apartament - wtrącił Seth. - Z ogromnym telewizyjnym ekranem, przestronną kuchnią i dobrze zaopatrzonym barkiem, który zresztą nie będzie pani potrzebny, chyba że wyda pani małe przyjęcie dla przyjaciół.

- W każdym razie jestem panu bardzo wdzięczna, doktorze Atchison - powiedziała sztywno Mindy. - Jeśli chce pan zrobić jakiś dobry uczynek, proszę skontaktować się z jakąś instytucją charytatywną. Ja jestem w stanie sama o siebie zadbać. Proszę wybaczyć, ale już muszę iść. Za kwadrans mam ostatni autobus.

- Proszę przynajmniej pozwolić, abym odwiózł panią do domu - odezwał się Reed.

- Dziękuję. Pojadę sama. Poczuł się rozczarowany. Ta kobieta nie chciała przyjąć jego pomocnej dłoni i nic na to nie mógł poradzić. Podniósł się z miejsca.

- Dziękuję za deser - powiedziała Mindy. - To był bardzo miły gest z pańskiej strony. - Odwróciła się i odeszła.

Rozgoryczony Reed spojrzął na przyjaciela.

- Widzisz, co się dzieje, kiedy człowiek chce komuś pomóc? - zapytał i zaraz dodał: - Wymierzają ci policzek.

Czuł się upokorzony także pół godziny później, gdy stał w salonie apartamentu przy Cherry Hill, niedaleko restauracji, w której pracowała Mindy Harmon. Gdyby dziewczyna przyjęła jego propozycję, ona i jej dziecko nie byłiby skazani na tułaczkę, ale cóż, zamiast słów podziękowania Reed został odsądzony od czci i wiary.

No, może przesadza. W każdym razie nękał go tępy ból w okolicach serca. Wiedział, że tego przykrego uczucia tak łatwo się nie pozbędzie.

Rozejrzał się wokół i uznał, że w tym mieszkaniu Mindy nie mogłaby czuć się dobrze, mimo że było bardzo eleganckie i kosztownie urządzone. Wnętrze projektował jeden z najlepszych dekoratorów. Ściany w salonie miały barwę ciemnozieloną, a w łazience równie ponurą, tyle że granatową. Reed stwierdził, że mieszkanie jest ciemne. Z trudem powstrzymał się przed zapaleniem wszystkich znajdujących się tu lamp.

Jak mógł sądzić, że to lokum spodoba się Mindy? Ponure, surowe i zimne wnętrza przygasiłoby promieniującą z niej radość. Czułaby się tu na pewno obco i źle.

A w ogóle jak on sam mógł lubić to mieszkanie?

Odpowiedź była prosta. Nie mógł. Właściwie w żadnym otoczeniu, także w rodowej siedzibie w Ardmore, nie czuł się swobodnie. Dopiero teraz uprzytomnił sobie, jak bardzo odizolował się od innych ludzi.

Westchnął i przesunął dłonią po włosach. Mimo to lepiej, by Mindy zamieszkała tutaj niż na ulicy. Na wszelki wypadek postanowił zaopatrzyć lodówkę w podstawowe produkty

spożywcze. Na następne dni zapowiadano obfite opady śniegu i kiepską pogodę. Mógłby mieć wówczas trudności z dostaniem się do domu w Ardmore. Poza tym nigdy nie wiedział, czy nie będzie musiał dłużej zostać w szpitalu.

Powinien również w najbliższym czasie zmodernizować mieszkanie, bo nigdy nie wiadomo, co może się wydarzyć.

Nucąc pod nosem, Mindy uprzątała z barowej lady resztki po południowym posiłku. Od dziwacznej rozmowy z dwoma lekarzami upłynęły dwa dni, ale dziewczyna ciągle wracała do niej myślami. Nagle, gdy podniosła wzrok, ujrzała wchodzącego na salę Reeda Atchisona. Był sam.

Podszedł do baru i stanął na wprost Mindy. Uznała, że jest bardzo przystojny. Na jego ciemnych włosach połyskiwały białe płatki śniegu. Miał na sobie długie, rozpięte palto z ciemnoszarej wełny, spod którego było widać o ton ciemniejszy garnitur, co sprawiało, że Reed wyglądał jak chodząca reklama wytwornej męskiej garderoby.

Gdy usiadł na wysokim stołku, serce Mindy zabiło żywiej. Atchison roztaczał wokół siebie dyskretny i bardzo męski korzenny zapach. W jego ciemnych oczach pojawiły się ciepłe iskierki, a na wargach zagościł nikły, lecz szczery uśmiech.

Widok tego mężczyzny szczerze ucieszył Mindy.

Zdjął ciężkie palto i położył je na wolnym stołku. Dopiero teraz Mindy zauważyła ciemny krawat. Nie mogła powstrzymać uśmiechu. Doktor Reed Atchison idealnie się maskował, nieustannie dając wszystkim do zrozumienia, jak drętwym i ponurym jest człowiekiem. Po co to robił? Chyba na wszelki wypadek.

Lecz Mindy wiedziała swoje. Reagowała na ukryte, wewnętrzne ciepło Reeda. Może dlatego wywoływał w niej mieszane uczucia.

W jakimś sensie pobudzał ją. Nie, nie w sensie fizycznym. To byłoby nie do pomyślenia. Nie teraz. Była w ciąży i miała

mnóstwo kłopotów na głowie. Ostatnią rzeczą, jakiej jej teraz było trzeba, to wplątywanie się w znajomość z jakimś dopiero co poznanym facetem.

Co to, to nie!

W każdym razie doktor Reed Atchison działał na nią... ożywczo. Tak, to było właściwe określenie. Czuła się przy nim podniesiona na duchu. Taka reakcja nie była chyba czymś niezwykłym u kobiety w ciąży. A poza tym wielkimi krokami zbliżało się Boże Narodzenie, kiedy wszyscy odzyskują chęć do życia.

A więc Reed mobilizował ją.

- Witam - powiedziała, odpędzając natrętne myśli. - Ostatnio pan do nas nie zaglądał.

- Jak się pani czuje? - zapytał. Z jego głosu przebijała prawdziwa troska. - Tamtego wieczoru wyglądała pani na zmęczoną - dorzucił.

Zmęczona? Była wykończona. Ostatnio nie czuła się dobrze. By nie skłamać, postanowiła milczeć.

- Obaj z Sethem też nie poprawiliśmy pani samopoczucia - powiedział po chwili. - Jeszcze raz przepraszam za powstałe nieporozumienie.

- Nic się nie stało. - Mindy zbagatelizowała sprawę, lekko wzruszając ramionami.

Wiedziała, że nie jest to do końca prawda. Uraziła Reeda, odrzucając jego wspaniałomyślną propozycję. Ale co innego mogła zrobić? Zgodzić się? To nie wchodziło w rachubę.

Popełniła w życiu wiele głupich błędów, ale przynajmniej czegoś się nauczyła. Ostatnią rzeczą, jaką mogła uczynić, to zaufać obcemu mężczyźnie i nawiązać z nim bliższą znajomość. Już raz to zrobiła i wyszła za mąż za zupełnie nieodpowiedniego człowieka, który zrujnował jej życie. Znacznie lepsza była samotna egzystencja.

Mindy odruchowo pogłaskała się po brzuchu. Nie, już nie była samotna. Jednak mąż zostawił po sobie coś dobrego.

- Jak się pani czuje? Spojrzała na Reeda i zobaczyła, że naprawdę się o nią niepokoi.

- Dobrze - stwierdziła. - Chyba jestem trochę przeziębiona, ale to nic wielkiego.

Reed zmarszczył czoło.

- Grypa może odbić się na zdrowiu dziecka. Jeszcze tego mi trzeba, z niechęcią pomyślała Mindy. Lekarskiego wykładu.

- Trochę kicham i to wszystko. Na pewno wkrótce mi przejdzie.

Nie wyglądał na przekonanego.

- Ile godzin w tygodniu pani pracuje? - zapytał.

- Co to, przesłuchanie? Święta Inkwizycja? W geście poddania Reed podniósł do góry ręce.

- Przepraszam. Ma pani rację. To nie moja sprawa.

- Tak. Nie pańska. Sama potrafię o siebie zadbać - dodała z naciskiem.

Oczy Reeda nagle spochmurniały.

- Mówiła to już pani kilka razy.

- Bo to prawda.

- W porządku. - Ustąpił i wziął do ręki kartę potraw.

- Zamówię coś do jedzenia. W gruncie rzeczy po to tu przyszedłem.

Mindy skinęła głową.

- Podać panu kawę?

- Proszę - odparł, nie podnosząc głowy znad menu. Mindy podbiegła szybko do dużego dzbana z kawą, stojącego na drugim końcu baru. Nagle poczuła, że robi się jej słabo. Zamknęła powieki, kurczowo chwyciła się lady i zaczęła powoli oddychać. Po chwili otworzyła oczy i zobaczyła, że

Reed bacznie ją obserwuje. Wzięła się w garść, napełniła kubek kawą i powoli wróciła.

- Czy pani dobrze się czuje? - zapytał, kiedy podała mu kawę.

- Tak - skłamała.

- Wydaje mi się, że pani zbladła.

- Czy to lekarska opinia? - zapytała, hardo unosząc głowę.

Na wargach Reeda ukazał się ledwie widoczny uśmiech.

- Tak.

- Mam jasną cerę - oświadczyła, nie patrząc lekarzowi w twarz.

- Zauważyłem także, iż przed chwilą pani omal nie zemdląca.

- Co pan zamawia? - Szybko zmieniła temat. Kiedy nie odpowiedział od razu, Mindy odważyła się

na niego spojrzeć. Otworzył usta, aby powiedzieć coś o stanie jej zdrowia, ale się rozmyślił. Zdziwił Mindy rzeczowym stwierdzeniem:

- Proszę o kanapkę ze stekiem. Średnio wysmażonym. I o porcję frytek.

Mindy wypisała zamówienie i bez słowa odwróciła się w stronę okna do kuchni.

- Pete, coś dla ciebie.

- Proszę mi powiedzieć, ile godzin w tygodniu pani pracuje? - Reed ponowił pytanie.

Wcale jej tym nie zaskoczył. Co więcej, nabrała ochoty do rozmowy.

- Dokładnie nie wiem. Pięćdziesiąt lub sześćdziesiąt.

- Słucham? - zdziwił się Reed. - Nic dziwnego, że jest pani przemęczona. Ciężarna kobieta nie powinna stać tyle godzin na nogach.

Mindy była zbyt znużona, by się z nim spierać.

- Przed samym rozwiązaniem będę pracowała krócej. Tyle, ile będę w stanie. Na razie, gdy tylko mogę, biorę dodatkowe zmiany.

Reed milczał.

- To naprawdę nie powinno pana interesować - oświadczyła ponownie, lecz już z mniejszym przekonaniem. Spojrzała Reedowi w oczy. Wyraźnie przejmował się jej zdrowiem i był zmartwiony. - Doceniam pańską troskę - dodała łagodniejszym tonem. - Ale... - zamilkła i wzruszyła ramionami - to naprawdę nie jest pańska sprawa.

Tym razem nie ustąpił.

- Jeśli tak bardzo potrzebuje pani pieniędzy, to dlaczego dwa dni temu zafundowała pani kolację tamtemu staremu człowiekowi? - zapytał.

- Tamten stary człowiek ma nazwisko - wytknęła mu Mindy surowym tonem.

Reed poruszył się niespokojnie na stołku.

- Wiem, ale go nie zapamiętałem.

- Był to pan McCoy.

- W porządku. A więc dlaczego postawiła pani kolację panu McCoyowi?

- To chyba oczywiste - obruszyła się. - Bo nie było go na nią stać.

- A panią było?

- Tak. Reed czekał na dalsze wyjaśnienia, lecz Mindy nie miała pojęcia, co jeszcze powiedzieć.

- Bo miała pani akurat trochę grosza? - Skinęła głową. - Przecież ledwie starcza pani na życie.

- To prawda - przyznała. - Ale było mnie stać na zafundowanie staruszkowi kolacji. Potrzebował pomocy, a ja byłam w stanie mu jej udzielić. Nie ma o czym mówić. To zupełny drobiazg.

- Drobiazg? - powtórzył zdziwiony Reed.

- Mindy, odbierz swoje zamówienia! - zawołał z kuchni Pete.

Przeprosiła Reeda i zaczęła roznosić jedzenie do stolików. Kiedy wróciła do baru, Atchison jadł już bez apetytu kanapkę ze stekiem.

- Wszystko w porządku? - spytała Mindy.

- Nic nie jest w porządku - stwierdził, spoglądając jej prosto w oczy. - Jest pani dobrą, miłą kobietą, która zdrowo oberwała od życia, a teraz z trudem wiąże koniec z końcem. Pomaga pani ludziom, lecz sama nie chce od nich niczego. Nie jestem w stanie tego zrozumieć.

Usiłując odgadnąć, dlaczego Reed jest tak bardzo zmartwiony, Mindy wypaliła prosto z mostu:

- Nie wprowadzę się do pańskiego apartamentu. To moja ostateczna decyzja.

Reed roześmiał się gorzko.

- Dlaczego? Byłoby to dla pani najlepsze rozwiązanie.

- Sama sobie poradzę. A poza tym nie wiem, z kim mam do czynienia. Przecież wcale się nie znamy.

- To bez znaczenia - stwierdził lekarz.

- Ależ to ma ogromne znaczenie - zaprotestowała Mindy.

- I proszę, skończmy tę zbędną dyskusję.

Spojrzał na nią uważnie.

- Wobec tego, pani Harmon, nie pozostaje nam nic innego, jak tylko lepiej się poznać - oświadczył zdecydowanym tonem. - Mam rację?

ROZDZIAŁ CZWARTY

Reed nie miał pojęcia, skąd przyszło mu do głowy tak dziwaczne stwierdzenie. Przecież bliższa znajomość z ciężarną kelnerką absolutnie nie była mu potrzebna do szczęścia.

Ale stało się. Złożył pewną propozycję, a to, czy uczynił to świadomie, czy też pod wpływem niekontrolowanego impulsu, nie miało większego znaczenia.

Jednak w chwilę potem ku swemu wielkiemu zdumieniu odkrył, że tak naprawdę ma ogromną ochotę zaprzyjaźnić się z Mindy Harmon. Kobieta - czy może raczej osobką - miłą, słodką i samotną jak palec. Tylko pod tym ostatnim względem byli do siebie podobni, bo Reed z pewnością nie uważał się za sympatycznego i słodkiego faceta. Ale to, że oboje z Mindy żyli samotnie, było niepodważalnym faktem.

Mindy nie wiedziała, jak zareagować na ostatnie słowa Reeda, więc tylko przyglądała mu się podejrzliwie. Była przekonana, że coś się kryje za jego propozycją. Doktorowi Reedowi Atchisonowi musiał przyświecać jakiś cel. O co mu może chodzić? Chciał zyskać nad nią przewagę? Podporządkować ją sobie?

Nie miał jej za złe, że jest ostrożna, przeżyła przecież tak wiele: nieodpowiedzialny mąż alkoholik, pożar domu, utrata całego dobytku, zerowe konto i nieuchronna eksmisja. Reed rozumiał, że po takich doznaniach człowiek staje się nieufny.

Ale dlaczego ja sam mam do tej obcej kobiety tak wielkie zaufanie? zapytywał sam siebie. Choć pochodził z bogatej rodziny i w życiu wszystko szło mu jak po maśle, zachowywał ogromny dystans wobec ludzi, a tej nieszczęsnej kelnerce gotów był natychmiast powierzyć najgłębsze tajemnice. Coś niesłychanego!

Pochylił głowę w poczuciu winy.

- Niech pan je.

Gdy ponownie podniósł wzrok, zobaczył, że Mindy przygląda mu się z nieodgadnionym wyrazem twarzy. Miała taką minę, jakby propozycja Reeda zupełnie do niej nie dotarła.

A może on swojej propozycji nie ubrał w słowa? Oby tak było. Pewnie popadł w chwilowy obłęd, ale to zaraz minie. Zaraz się pożegna z tą biedną dziewczyną i...

Ugryzł kanapkę, lecz nie był w stanie przełknąć najmniejszego kęsa, mimo że jedzenie „U Evie” było doskonałe, a Reed był bardzo głodny. Dlatego właśnie tu przyszedł.

Naprawdę?

Na Mindy Harmon natknął się przypadkiem i nie powinien o tym zapominać. Popijając kawę, wciąż przyglądał się jasnowłosej kelnerce. Poruszała się sprawnie i wdzięcznie. Było widać, że swoją pracę wykonuje z zadowoleniem i z dużą wprawą. Dobrze знаła wielu gości i prowadziła z nimi krótkie, żartobliwe rozmowy. Promieniowała szczerą serdecznością, bez cienia fałszu.

Reed pomyślał o jej mężu. Musiał być skończonym idiotą, skoro zdradzał tak wspaniałą kobietę. Ale jak sprawił, że się w nim zakochała i przyjęła jego oświadczenia?

No cóż, podobno na miłość nie ma lekarstwa, pomyślał sentencjonalnie Reed... i właśnie dlatego powinien trzymać się z daleka od sympatycznej i ładnej kelnerki. Lecz jeśli taka kobieta jak Mindy mogła oddać serce mężczyźnie, który na to nie zasługiwał, to czy Reed nie popełni kiedyś takiego samego błędu?

Nie, absolutnie nie zamierzał nikomu oddawać swojego serca. Ukrył je głęboko i zamknął na siedem spustów. Atchisonowie nie potrafią kochać, więc wykreślili ten czasownik ze swojego słownika.

Od pokoleń zawierali małżeństwa z rozsądku, a raczej z wyrachowania: decydowały finanse, polityka lub kariery zawodowe. I tak powinno pozostać. Nawet w pokoleniu Reeda wszystkie małżeństwa zawierano z myślą o przyszłych zyskach. Często krewni twierdzili, że żywią uczucie do swych wybranek, były to jednak puste słowa, bo tak naprawdę zawierano handlowe transakcje, co wszystkim wychodziło na zdrowie: miłość przynosi kłopoty, lecz dobry interes owocuje wymiernym zyskiem.

Właśnie dlatego Reed pozostał starym kawalerem.

Chwalił sobie swoje życie, ponieważ nigdy nie uległ miłosnej chorobie. Nie było więc sensu wiązać się na stałe z jakąś kobietą, która być może marzyłaby o prawdziwym uczuciu. Co więcej, takie postępowanie byłoby czystym okrucieństwem wobec ewentualnej wybranki.

Po co zatem było się żenić?

Na szczęście wróciła Mindy, przerywając smętne rozważania Reeda. Niosła ogromny dzban pełen kawy i ledwie trzymała się na nogach. Wyglądała, jakby miała za chwilę zemdleć. Reed powinien nakazać jej, by natychmiast wróciła do domu i położyła się do łóżka; wiedział jednak, że nic nie wskóra i tylko rozzłości dziewczynę. No cóż, to nie była jego sprawa. Mindy powtarzała te słowa tak często, iż wreszcie w nie uwierzył.

Lecz ta kruszyna rozpaczliwie potrzebowała pomocy. Cięża bardzo ją osłabiła i jeśli Mindy nadal będzie tak ciężko pracować, może dojść do tragedii. Do utraty dziecka.

- Była pani u lekarza? - zapytał surowo.

Mindy nerwowo drgnęła i wypuściła dzban, który rozbił się o podłogę. Gorący płyn poparzył jej nogi, dziewczyna krzyknęła z bólu.

Reed błyskawicznie przeskoczył ladę i porwał Mindy w objęcia. Musiała być bardzo wystraszona, gdyż nie

zaprotestowała. Położyła mu ręce na karku i wybuchnęła płaczem.

Do sali wbiegła szczupła, siwowłosa pani.

- Czy coś stało się Mindy? - spytała z niepokojem.

- Nie wiem - odparł Reed. - Poparzyła się. Trzeba ściągnąć rajstopy i zobaczyć, co się stało. Jestem lekarzem - dodał szybko.

- Jestem Evie - przedstawiła się starsza pani. - Proszę zaprowadzić Mindy na zaplecze, do mojego biura.

- Wolałbym zabrać panią Harmon na ostry dyżur - oświadczył Reed, idąc za Evie w stronę kuchni.

Zdejmie Mindy rajstopy i obłoży nogi lodem. Zaraz potem zawiezie ją do szpitala, nie zważając na żadne protesty.

- Mówiłam, że czuję się dobrze. Siedziała na szpitalnej kozetce i z niechęcią patrzyła na

Reeda, wpatrującego się w jej obnażone nogi.

- Poparzenie pierwszego stopnia podczas ciąży to dość poważna sprawa - mruknął ze zmarszczonym czołem. - Powinna się pani cieszyć, że skończyło się tylko na tym.

- Tym razem mam się z czego cieszyć, bo jestem ubezpieczona od wypadków przy pracy - mruknęła do siebie.

- Czy pani coś mówiła? - Reed podniósł głowę.

- Nie, nic. Na widok swych chudych i białych nóg Mindy ciężko

westchnęła. Jak mogła doprowadzić się do takiego stanu? Rok temu ważyła prawie osiem kilogramów więcej i była okazem zdrowia, a teraz czuła się po prostu fatalnie. Po pięciu miesiącach ciąży przytyła zaledwie trzy kilogramy. No cóż, ostatnio harowała jak wyrobnica.

Nagle ogarnął ją strach o dziecko.

Wiedziała, że za mało o siebie dba. Powinna mniej pracować i więcej odpoczywać, lepiej się odżywiać i uprawiać

gimnastykę. Lecz jeśli teraz nie zarobi trochę pieniędzy, jak potem utrzyma siebie i maleństwo?

Pod wpływem ponurych myśli oczy Mindy zaszkliły się łzami. Modliła się w duchu, by Reed tego nie zauważył, bo sytuacja była naprawdę żenująca. Lecz doktor Atchison, zajęty oględzinami jej nóg, szczęśliwie nie zwracał uwagi na stan ducha pacjentki. Centymetr po centymetrze, skrupulatnie i z wielką delikatnością dotykał oparzonych miejsc. Wiedziała, że postępuje zgodnie z lekarską rutyną, ale...

Strużka łez zamieniła się w rwący, słony potok. Nikt, ani Sam, ani jej rodzice, nigdy nie dotykali jej z taką naturalną serdecznością. Gdy Mindy była małą dziewczynką, matka wielokrotnie powtarzała, że ją kocha, lecz unikała pieśczoł. Dlaczego? Mindy poprzysięgła sobie, że jej dziecko zawsze otoczone będzie miłością i czułością. Otarła łzy i uśmiechnęła się do siebie. Poczwała dłoń Reeda na udzie.

- Co pan robi? - spytała, gwałtownie się odsuwając.

- Przecież tam się nie poparzyłam.

- Tylko sprawdzam - spokojnie wyjaśnił. - Ma pani również poparzone ręce, na szczęście niegroźnie.

Spojrzała na ciemnoczerwony ślad w kształcie sierpa.

- Przepiszę pani maść z antybiotykiem. Chyba wszystko będzie w porządku.

- Już to mówiłam - mruknęła Mindy.

- Ale na kilka dni powinna pani zrezygnować z pracy - z powagą oznajmił Reed.

- Co takiego?

- Ja nie żartuję. Zaraz zadzwonię do Evie i powiem, że przez najbliższe trzy dni musi pani zostać w domu.

- To śmieszne - mruknęła Mindy. - Sam pan przed chwilą oświadczył, że nic mi się nie stało.

- Poparzeń nie wolno lekceważyć. Ale przede wszystkim powinna pani odpocząć - dorzucił z naciskiem w głosie.

A więc troszczył się o dziecko!

Ona też bała się o maleństwo, i to bardzo. Niestety, będzie musiała pracować nie tylko w dni robocze, ale również podczas weekendów, gdy jest największy ruch. Nie mogła sobie pozwolić na stratę tych napiwków, bo inaczej jej dziecko będzie głodne.

- Na pewno związek pokryje pani utracone zarobki - powiedział Reed, jakby czytając w jej myślach. - Proszę przez trzy dni odpoczywać. To polecenie lekarza. Mówię poważnie, Mindy. I będę skrupulatnie sprawdzał, czy jest pani posłuszną pacjentką.

„Będę skrupulatnie sprawdzał, czy jest pani posłuszną pacjentką”, powtórzyła w myślach słowa Reeda. Wyobraziła sobie doktora Atchisona, jak o różnych porach wpada do restauracji i groźnym okiem lustruje wnętrze lokalu, a ona, biedna i wystraszona, kryje się po kątach. No cóż, by nie narazić się na gniew straszego medyka, będzie musiała tych kilka dni spędzić w domu. Roześmiała się beztrosko. Na krótką chwilę zapomniała, że jest sama, bez grosza przy duszy i że grozi jej bezdomność.

Jakby tego było mało, ku jej wielkiemu zaskoczeniu doktor Atchison odwiedził ją wieczorem, przynosząc dwie duże, papierowe torby.

Musiała przyznać, że Reed wyglądał niezwykle atrakcyjnie. Miał na sobie markowe ciuchy: wytarte, obcisłe džinsy i zniszczoną, skórzaną kurtkę, spod której wystawał beżowy sweter. Lodowaty wiatr zaróżowił mu policzki i lekko zwichrzył ciemne włosy.

Mindy odruchowo poprawiła koński ogon i rzuciła okiem na swój strój. Miała na sobie workowate spodnie od dresu i wielką czerwoną bluzę z emblematem szkoły, do której nigdy nie uczęszczała.

Niedawno na garażowej wyprzedaży kupiła całą torbę takich „kreacji”, o wiele na nią za dużych, nie stać jej było bowiem na prawdziwe ubrania ciężowe. Teraz jednak, spoglądając na Reeda, ubranego z nonszalancką elegancją właściwą ludziom, którzy nigdy nie muszą pytać o cenę, poczuła się jak nędzarka. Torby z zakupami, które Reed trzymał w rękach, jeszcze bardziej pogłębiły to wrażenie. Przyniósł jedzenie, a więc nie uwierzył w jej zapewnienia, że sama potrafi o siebie zadbać. Niestety, musiała przyznać mu rację.

Nie mając pojęcia, co powiedzieć, palnęła:

- Na pierwszą randkę większość mężczyzn przychodzi z kwiatami.

Reed uśmiechnął się, a Mindy poczerwieniały policzki i zrobiło się jej dziwnie gorąco.

- To nasza pierwsza randka? - zapytał. - Zabawne, ale nie przypominam sobie, abym się z panią umawiał.

- Hm... - mruknęła speszona.

- Zamierzałem to zrobić, ale obawiałem się, że pani odmówi.

Mindy zrobiło się jeszcze goręcej.

- Hm...

- Proszę więc wyobrazić sobie moją radość, gdy pani w ten sposób określiła moją wizytę.

Uśmiechał się tajemniczo. Mindy nie wiedziała, czy Reed mówi serio. Chyba nie, uznała, zważywszy okoliczności i dzielące ich różnice.

Wreszcie odzyskała mowę.

- Żartowałam - wyjąkała.

- Naprawdę? - Nadal miał rozbawioną minę. Mindy obawiała się, że głos zdradzi jej odczucia, więc tylko kiwnęła głową.

- Wobec tego dobrze się stało, że zamiast kwiatów przyniosłem kolację.

- Zamierza pan gotować? - spytała zdziwiona.

- Och, nie! Jestem fatalnym kucharzem. Przyniosłem chińszczyznę z restauracji. Mam nadzieję, że lubi pani azjatycką kuchnię?

- Bardzo - przyznała. - Ale nie jestem głodna. Przykro mi, że niepotrzebnie pan się fatygował. Dziękuję za dobre chęci.

Nie zrażony odprawą, Reed Atchison nadal się uśmiechał. Milcząc, przestępował z nogi na nogę. Mindy westchnęła ciężko.

- No, dobrze - ustąpiła, wycofując się w głąb mieszkania.

Przystojni, seksowni, wygadani, bystrzy i dobrze zbudowani mężczyźni zawsze robili na niej duże wrażenie.

Reed przekroczył próg. Gdy w przejściu otarł się o nią, Mindy poczuła się tak, jakby znalazła się w epicentrum wybuchu bomby jądrowej. Jeśli przed chwilą było jej gorąco, to teraz...

- Nie musiał pan sprawdzać osobiście, co się ze mną dzieje - oświadczyła. - Wystarczyło wziąć słuchawkę i zatelefonować. - Zamknęła za gościem drzwi.

- Szczerze powiedziawszy, dzwoniłem. A właściwie próbowałem do pani zadzwonić. Ale poinformowano mnie, że telefon został odłączony.

- Och. - Mindy zagryzła wargi.

- Pewnie dlatego, że właściciel eksmituje z domu wszystkich lokatorów, a nie dlatego, że nie udało się pani ostatnio uregulować rachunku.

Milczała.

- Czy naprawdę nie miała pan pieniędzy na opłacenie telefonu?

- Hm... To samo dotyczy innych należności - powiedziała szczerze. - Ostatnie miesiące miałam dość trudne... Sam pan

wie. - Reed nie reagował na jej słowa, więc dodała szybko: - Tędy do kuchni. - Wskazała kierunek. Miała nadzieję sprowadzić rozmowę na bezpieczniejszy grunt.

W kuchence Mindy mieściły się zaledwie mała lodówka i piecyk oraz stoliczek z dwoma krzeselkami. Z każdego kąta wзираła bieda. Wszystko było stare, zniszczone i tandetne.

Mindy poczuła się zawstydzona.

Nawet porozwieszane czerwono - zielone papierowe łańcuchy i plastikowa choinka na parapecie, które do tej pory jej się podobały, w obecności Reeda całkowicie utraciły blask; nie mówiąc już o czerwono - białej męskiej skarpecie, kupionej w sklepie z tandetą. Powieszona na kaloryferze, wyglądała nad wyraz dziwnie.

Reed ani słowem nie skomentował świątecznych dekoracji. Widocznie ocenił je podobnie jak Mindy. Jego z pewnością było stać na różne kosztowne cacka.

Dzielnica, w której mieszkała Mindy, była uboga, lecz bezpieczna. Tu wszyscy byli sobie życzliwi. Sąsiedzi byli w większości przyzwoitymi ludźmi, mającymi niewiele pieniędzy, tak że dziewczyna nie musiała wstydzić się swego ubóstwa. Nie było jej stać na dostatniejszą egzystencję, a mimo to radziła sobie znacznie lepiej niż większość okolicznych mieszkańców.

A jednak z jakiegoś niewiadomego powodu nie chciała, żeby Reed poznał warunki, w jakich żyła. Fakt, że zobaczył to obrzydliwe mieszkanie, sprawiał jej niewymowną przykrość.

Jak właściwie się czuła? Odpowiedź nasuwała się sama. Jak człowiek gorszej kategorii. Reed Atchison miał wszystko. Pochodził z dobrej rodziny, był majątny, wykształcony, inteligentny. Należał do wyższych sfer. A ona była prostą kobietą. Kelnerką, która ukończyła zaledwie szkołę średnią. Urodziła się w robotniczej rodzinie. Ojca nawet nie znała,

matkę straciła dawno temu. Wyszła za mąż za człowieka z tej samej, niskiej warstwy społecznej. Zostawił ją z jeszcze mniejszym dobytkiem niż ten, który wniosła do małżeństwa.

Nic więc dziwnego, że czuła się kimś gorszym od Reeda. Nie dorównywała mu bowiem pod żadnym względem. Uświadomiwszy to sobie z całą jaskrawością, poczuła w sercu gorycz.

Na szczęście szelest papieru przerwał te przykre rozmyślenia. Z jednej z brązowych toreb Reed wyciągał kartonowe pudełka. Było ich mnóstwo, tak jakby jedzenia miało starczyć dla dziesięciu osób.

- Przyniosłem wszystkiego po trochu - oznajmił, chyba czytając w myślach Mindy. - Nie wiedziałem, co pani lubi. Na wszelki wypadek kupiłem również dwie wegetariańskie potrawy, gdyby nie jadała pani mięsa. Ale powinna pani pamiętać, że będąc w ciąży, należy codziennie zwiększać zawartość białka w organizmie o trzydzieści do czterdziestu gramów.

- Jadam mięso - oświadczyła Mindy. - I piję znacznie więcej mleka niż przedtem. Podczas każdej zmiany Evie funduje nam jeden posiłek. Zawsze dostaję coś pożywnego. - Mimo że nigdy nie zjadam całej porcji, dodała w myśli. Ale Reed nie musiał o tym wiedzieć.

- Potrzebne jest pani też żelazo - dorzucił. - Więcej niż zwykle. I bardzo ważny jest kwas foliowy.

- Biorę zestaw witamin dla ciężarnych - wyjaśniła Mindy. - To chyba wystarcza.

- Witaminy się przydadzą - powiedział Reed, zabierając się do rozpakowywania drugiej z przyniesionych toreb. - Ale nie zastąpią właściwego odżywiania się. Trzeba przybrać na wadze. Jest pani stanowczo zbyt chuda.

Gdyby powiedział to ktoś inny, Mindy pewnie dałaby mu prztyczka w nos. Lecz Reed był lekarzem, a ona ciężarną pacjentką i w jego uwagach nie było niczego obraźliwego.

Doktorem Atchisonem kierował zawodowy nawyk, a nie prywatna troska o jej dobro. Przecież sam oświadczył, że nie wierzy w dobre uczynki. Interesował się nią wyłącznie z medycznego punktu widzenia.

Na pewno tak jest. No, prawie na pewno.

- Dziękuję, doktorze - powiedziała po chwili. - Wezmę pod uwagę pańskie zalecenia. Zechce pan przysłać mi rachunek za tę wizytę?

Znieruchomiał i zeszywniał, lecz nie skomentował jej słów. Wrócił do przerwanego zajęcia. W torbie znajdowały się następne pudełka z jedzeniem.

- Jeśli nie jest pani głodna, proponuję zacząć od bulionu. Powinien pobudzić apetyt. Potem może pani spróbować czegoś bardziej konkretnego. Osobiście uważam, że ta wołowina jest świetna.

Oparta biodrem o stół, Mindy z udawaną nonszalancją w napięciu obserwowała Reeda. Z szafek w y j ą ł talerze i szklanki, sięgnął do szuflady po sztucce. Nalał mleka do szklanki i podsunął ją Mindy, dla siebie otworzył puszkę piwa.

- Kolacja podana - powiedział z uśmiechem.

I nie był to zawodowy uśmiech lekarza, rozmawiającego z pacjentką. Nim jednak Mindy zdołała zastanowić się nad tym spostrzeżeniem, lodówka przestała szumieć, a wszystkie światła zgasły.

- Czyżby nie zdążyła pani również opłacić rachunku za światło? - zapytał Reed z rozbawieniem w głosie.

Była wdzięczna losowi za ogarniające ich ciemności, gdyż zrobiła się czerwona jak rak, mimo że na pytanie odpowiedziała przecząco, gdyż opłata ta wchodziła w skład

komornego. Ale i tak wcześniej czy później wyłączono by jej elektryczność. Z powodu, który Reed wymienił.

- To stary budynek, instalacja jest w złym stanie - wyjaśniła. - Światło gaśnie ze dwa razy w miesiącu. Nie dlatego, że nie płacę rachunków - dodała szybko. - Wszystkie świadczenia są wliczone w czynsz, który reguluję w terminie. Prawie zawsze - dorzuciła z wrodzoną uczciwością. - Z tego względu w mieszkaniu jest zawsze piekielnie zimno - mruknęła pod nosem. - Ustawiają nam termostat tak, jakbyśmy byli Eskimosami.

- Ma pani świece? - zapytał Reed.

- Tak, leżą na lodówce. Grube i krótkie. Jeszcze mu tego było potrzeba, pomyślał z niechęcią.

Romantycznej kolacji przy świecach. Ale tak nędznemu pomieszczeniu przyćmione światło wyjdzie tylko na korzyść.

No cóż, ale Mindy niedługo straci nawet ten obskurny ką. Wskazał pudełka ustawione na kuchennym blacie.

- Proszę spróbować - zachęcił.

- Nie jestem głodna.

- Powinna pani jeść - oświadczył łagodnym tonem doktora Kildare'a. - Nawet jeśli nie ma pani apetytu.

Mindy otworzyła usta, lecz nie wyrzekła ani słowa.

Reed uśmiechnął się z satysfakcją. Wreszcie ta uparta kobieta zrozumiała, że ze mną nie wygra, pomyślał. Wie, że nie wyjdę stąd, dopóki ona nie zje przyzwoitego posiłku i nie przyrzeknie, że zaraz potem się położy. Obiecałem, że jej pomogę, i dotrzymam słowa. Jak zawsze.

- Spróbuję trochę bulionu - zdecydowała się wreszcie Mindy. - Cóż innego mi pozostało, skoro stosuje pan wobec mnie przemoc.

- Tak. Ma pani jeść z apetytem i cały czas mieć zadowoloną minę. Musi pani delektować się potrawami. To rozkaz.

Mindy roześmiała się tak radośnie, że Reedowi zrobiło się ciepło wokół serca. Miała śmiech najpiękniejszy pod słońcem. To zdumiewające, że kobieta tak bardzo skrzywdzona przez los i prowadząca nędzne życie potrafi tak szczerze się cieszyć. Szczerze i naturalnie.

- Dobrze - oświadczyła, zajmując przygotowane dla niej miejsce przy stole. - Będę jadła jak głodomór, a nawet od czasu do czasu wykrzywię usta w uśmiechu. Wedle rozkazu. Ale nie będę delectować się jedzeniem, do tego mnie pan nie zmusi nawet za pomocą tortur. Tylko taka forma oporu mi pozostała. Straszne!

Roześmieli się jak starzy przyjaciele.

ROZDZIAŁ PIĄTY

- To było naprawdę dobre!

Reed uśmiechnął się na widok rozanielonej miny Mindy. Dzisiejszego wieczoru zjadła gigantyczny posiłek, co najmniej za trzy ciężarne kobiety, uznał z satysfakcją. No i dotrzymała słowa - spałaszowała wszystko z uśmiechem, często chwalać smak potraw. Nawet się rozgadała, co Reeda tak bardzo ucieszyło, że ochoczo poszedł w jej ślady. Nie potrafił sobie przypomnieć, kiedy ostatnio tak miło spędził czas.

Okazało się, że wiele ich łączy. Reed dowiedział się, że Mindy również była jedynym dzieckiem w rodzinie i podobnie jak on, wcześniej straciła rodziców. Dorastała w South Jersey, po drugiej stronie rzeki, vis - a - vis rodowej siedziby Reeda, i od czasu do czasu, tak jak on, nad brzegiem morza spędzała letnie weekendy. Oboje interesowali się muzyką i literaturą.

Mindy od dawna chciała nauczyć się grać na fortepianie, Reedowi natomiast marzył się saksofon. A na dodatek obojgu najbardziej ze wszystkich chińskich potraw smakował przyniesiony przez Reeda specjalnie przyrządzony kurczak o przedziwnej nazwie.

Zdumiewające, jak wiele można dowiedzieć się o drugim człowieku podczas zaledwie jednego wspólnego posiłku.

Nadal nie było światła, lecz Mindy się tym nie martwiła.

- Włączą prąd przed północą - zawyrokowała. - Zawsze tak robią.

Może sprawiało to tylko przyćmione światło świec, ale Reed odniósł wrażenie, że Mindy wygląda nieco lepiej niż wtedy, kiedy po raz pierwszy ujrzał ją w restauracji. Miała zaróżowione policzki, a jej oczy nabrały blasku. Kusilo go, by rozpuścić jej miękkie, połyskliwe włosy, związane na czubku głowy i opadające w lokach wokół twarzy.

Z trudem powstrzymał dziwaczne myśli i pragnienia. Flirt z Mindy Harmon to naprawdę poroniony pomysł. Chodziło przecież wyłącznie o dobry uczynek. Kiedy już Reed dopilnuje, by dziewczyna znalazła nowe lokum, jego zadanie dobiegnie końca. To tylko sympatyczna, ale przelotna znajomość, nic więcej.

Ta młoda kobieta oczywiście potrzebowała mężczyzny, ale na pewno nie takiego, jak Reed. Jej partner powinien być czuły i opiekuńczy, potrafiący zadbać o żonę i dziecko, pragnący stworzyć prawdziwą rodzinę. To musi być ktoś, kto tak samo jak Mindy promieniuje serdecznością i ciepłem. A zatem z całą pewnością nie Reed Atchison.

Oczywiście dopilnuje, by ta dziewczyna znalazła nowe mieszkanie, a nawet będzie nad nią czuwał aż do porodu. A nawet dłużej, to znaczy aż do chwili, gdy się przekona, że Mindy ma wszystko, czego potrzebuje. A potem zniknie z jej życia, bo warunki zakładu z Sethem zostaną spełnione.

Reed postawił pojemnik z jedzeniem w lodówce i zamknął drzwiczki. Odwrócił się i ujrzał Mindy zerkającą do środka jednej z przyniesionych przez niego toreb.

- Co to? Nie ma deseru? - spytała z żalem. - Chłopcze, kiepsko spisujesz się na randce.

- Nic podobnego - obruszył się Reed. - Wypominano mi różne rzeczy, ale takiego oskarżenia jeszcze nie słyszałem.

Mindy westchnęła.

- Przychodzisz do mnie z gotowym jedzeniem, bez kwiatów i czekoladek, a nawet bez butelki bezalkoholowego wina. A teraz dowiaduję się, że nie ma deseru. Uważasz, że powinnam płąć z zachwyty?

Żartobliwa nutka brzmiąca w głosie Mindy sprawiła, że Reed poczuł się dziwnie. Do tej pory nie przekomarzała się z nim żadna kobieta i żadna nie prawiała mu podobnych złośliwości. Wszystkie jego dotychczasowe związki

wyglądały zupełnie inaczej. Były bardziej, jak by to wyrazić - poważne. Na kpiny i żarty, na bez troski flirt nie było w nich miejsca. Reed umawiał się z kobietami w konkretnym celu, który przyświecał również jego partnerkom. Mogło chodzić o seks, o interesującą rozmowę, o wytworną kolację, o wspólny wypad do teatru lub na koncert, o pokazanie się na jakimś ważnym przyjęciu. Nigdy nic nie działo się samo z siebie, spontanicznie. Wszystko było przemyślane i starannie zaplanowane.

I śmiertelnie nudne. Dopiero teraz to sobie uprzytomnił.

Z Mindy nie łączyło go nic poza nieistotnymi drobiazgami, o których rozmawiali podczas kolacji. Lecz mimo to czuł się wspaniale, swobodny i radosny, jak z żadną inną kobietą. Nie potrafił zrozumieć, dlaczego tak się dzieje, i dlatego czuł się trochę nieswojo.

- Naprawdę domagasz się deseru? - zapytał, starając się podjąć żartobliwy ton Mindy. Jak mogło mu się to udać, skoro nigdy nie przekomarzał się z żadną kobietą? - To go dostaniesz - oświadczył.

Podszedł do kanapy, na której zostawił zdjętą wcześniej kurtkę. Kiedy wychodził z chińskiej restauracji, z wielkiej szklanej czary wyciągnął garść ciasteczek z przepowiedniami. Dlaczego to zrobił? Nie miał pojęcia.

Teraz jedno z nich rzucił Mindy.

- Łap. To twój deser. Roześmiana, chwyciła ciastko w obie dłonie. Szybko rozdarła opakowanie, przełamała ciastko na pół i wyjęła ze środka zwinięty pasek białego papieru. Po chwili z jej twarzy zniknął uśmiech.

- Co tam jest napisane? - zapytał Reed, wracając do stołu. Zanim zdążył podejść, Mindy zwinięła karteczkę i wrzuciła do jednej z brązowych toreb stojących na kuchennym blacie.

- Nic - mruknęła, bez apetytu skubiąc ciastko.

- Coś musiało być napisane - upierał się Reed. - W przeciwnym razie zażądam zwrotu moich dwudziestu pięciu centów.

- Jak widzę, znów chcesz mi zaimponować. - Tym razem jednak uśmiech na twarzy Mindy nie wydawał się szczery. - Przyniosłeś deser za całe ćwierć dolara. Prawdziwa rozrzutność! - zakpiła.

- Daj spokój. - Reed postanowił zignorować zaczepkę. - Powiedz, co przeczytałaś.

- To taka przepowiednia, którą można rozumieć na wiele sposobów - wyjaśniła z niechęcią.

Reed sięgnął do brązowej torby.

- Hej, co ty wyprawiasz? - zaprotestowała Mindy.

- Czytam twój horoskop - oznajmił, rozwinąwszy w palcach zwitek papieru.

- Ale... Reed wiedział, że zachowuje się śmiesznie. Przecież to tylko głupia przepowiednia, a on jest człowiekiem poważnym i nadzwyczaj rozsądnym. Musiał jednak dowiedzieć się, jaki los czeka Mindy Harmon.

Gdy przysunął karteczkę do świecy, Mindy chwyciła go za nadgarstek.

- Reed... Spodobało mu się, że użyła jego imienia. Ich oczy spotkały się w nikłym świetle, a serce Reeda gwałtownie przyspieszyło bicie. Mindy to wyczuła, gdyż w jej wzroku odmalowało się zdziwienie. Ale nie puściła ręki Reeda, co bardzo mu się spodobało.

- Chciałem przeczytać, co tam jest napisane - wyjaśnił.

W głosie Reeda nie było już rozbawienia.

- Nie ma tam niczego ciekawego - powtórzyła z uporem.

Nie potrafił poskromić ciekawości. Z trudem oderwał wzrok od ślicznej, wpatrzonej weń buzi i przeczytał na głos:

„Podarunek od nieznanego jest czymś znacznie cenniejszym, niż ci się wydaje”.

- Sam pan widzi, że to zupełnie bez sensu - łagodnym tonem skomentowała Mindy.

Mów sobie, co chcesz, pomyślał Reed.

- Ma pani rację - stwierdził lekko kpiącym tonem. Zmiał karteczkę i wrzucił ją do torby. - To może mieć wiele znaczeń.

Reedowi wydawało się, że we wzroku Mindy pojawiła się pełna tęsknoty zaduma. Ciekawe, z jakiego powodu?

- Bardzo dziękuję za kolację. - W jej głosie znów pojawiły się wesołe i żartobliwe nutki. - Od miesiący tak się nie objadłam. To był z pana strony bardzo miły gest.

- Powinna się pani lepiej odżywiać. - Chciał powrócić do roli dobrotliwego doktora Kildare'a, lecz słowa doktora Atchisona zabrzmiały tak, jakby wypowiedział je troskliwy kochanek.

- W lodówce zostało tyle jedzenia, że wystarczy mi na cały tydzień - z uśmiechem stwierdziła Mindy.

- Ale co z następnym tygodniem? I dalszymi? Gdzie wtedy będzie pani jadła?

- Co ma pan na myśli? - Natychmiast spochmurniała.

- Co zrobi pani, kiedy nadejdzie dzień eksmisji?

- Już mówiłam, to nie pańska sprawa.

- Moja - zaprotestował z głębokim przekonaniem. - Interesuje mnie to, co się z panią stanie.

- Dlaczego?

- Bo... - Reed nie wiedział, jak to wyjaśnić. Dlaczego tak bardzo przejął się sytuacją tej kobiety? Była sympatyczna, miała złote serce i na pewno nie zasłużyła na takie życie, jakie zgotował jej los. A on był w stanie ją wesprzeć. - Pomagała pani ludziom, więc teraz sama powinna pani skorzystać z czyjejś pomocy. A ja mam środki i możliwości. To odpowiedź na pani pytanie.

- Nie jest mi pan potrzebny - odparła ponuro.

- Proszę pozwolić sobie pomóc. Przez kilka miesięcy. Aż stanie pani na własnych nogach.

- Dlaczego? Przecież niczego nie musi pan dla mnie robić.

- Muszę.

- Z jakiego względu?

- Bo... - westchnął głęboko - bo zbliża się Boże Narodzenie. - Był to kiepski powód, ale być może wystarczający dla Mindy.

Odezwała się głosem całkowicie pozbawionym emocji:

- Jestem więc obiektem pańskiej gwiazdkowej dobroczynności. Mam rację?

Reed nagle zrozumiał, po co dziś tutaj przyszedł. W y - łącznie ze względu na siebie!

- Nie.

- Czyżby?

- Nie, Mindy, to...

- Wypełnia pan tylko warunki przegranego zakładu, bawiąc się w dobrego samarytanina czy raczej w Świętego Mikołaja.

- Nie, to...

- Ma pan przed sobą samotną, biedną jak mysz kościelna, ciężarną kobietę i wydaje się panu, że potrafi jej pomóc.

- Nie, wcale nie...

- Po tym, jak zobaczył pan m o j ą nędzę, poprawi sobie pan samopoczucie. Pójdzie pan do domu, naleje sobie drinka, wyciągnie się na łóżku i pomyśli: „Być może moje życie nie jest idealne, ale dzięki Bogu o wiele lepsze niż życie Mindy Harmon...”.

Jej głos się załamał. Zamilkła i zacisnęła wargi. Chyba chciała powiedzieć coś ostrzejszego. Z kobiety miękkiej i łagodnej przeobraziła się nagle w waleczną lwicę.

I w tej oto chwili Reed dojrzał znacznie więcej, niż tylko ciężarną kobietę potrzebującą pomocy. Po raz pierwszy Mindy w jego oczach stała się prawdziwą kobietą. Ładną i pełną życia. Atrakcyjną fizycznie. Dumną i pełną temperamentu.

- Och, będę z pewnością myślał o pani, leżąc w łóżku - wyrwało mu się mimo woli. - Ale nie tak, jak pani sądzi.

Reed nie miał pojęcia, dlaczego powiedział to na głos. Słów cofnąć się jednak nie dało. I nagle poczuł, że nie żałuje swojej impulsywności.

Natomiast Mindy sprawiała wrażenie przestraszonej. Posmutniała i, ku przerażeniu Reeda, głośno się rozplakała. Łzy, jedna po drugiej, popłynęły po jej twarzy.

- Mindy... Nie wiedział, co powiedzieć. Instynkt podpowiadał mu, by objąć dziewczynę, natomiast rozsądek ostrzegał go przed popełnieniem tego błędu. Reed przez chwilę się wahał, a potem podniósł ręce i położył delikatnie na ramionach Mindy.

- O co chodzi? Co się stało? - zapytał łagodnym tonem.

Słowa Reeda podziałały na nią jak kubeł lodowatej wody. Mindy z przerażeniem w oczach szarpnęła się do tyłu.

- Mindy... - zaczął znowu Reed.

Powoli, w milczeniu potrząsnęła głową. A potem szybko wycofała się w odległy kąt kuchni, uderzając plecami o blat.

Tym razem Reed posłuchał własnego instynktu. Powoli i ostrożnie zbliżył się do Mindy. Wyciągnął ręce. Ale gdy tylko dotknął jej ramion, znów zaczęła płakać.

- Co się stało? - zapytał, starając się mówić najłagodniej, jak potrafił.

Ta kobieta wyprowadzała go z równowagi. Przed chwilą śmiała się i była ożywiona. A teraz nagle stała się smutna i nieszczęśliwa. Reedowi wydawało się, że jest odpowiedzialny za to przeobrażenie.

- Co ci zrobiłem? Powiedz, proszę. Zamknęła oczy. Po jej policzkach popłynęły następne łzy. Zaczęła mówić łamiącym się głosem:

- Sprawiasz, że...

- Że co? Mów, co złego zrobiłem. Natychmiast przestanę. Przymierzam.

- Nie przestawaj - odparła prawie niedosłyszalnym szeptem. - Proszę...

- Dobrze. Ale powiedz, o co chodzi.

Otworzyła oczy. Były niezwykle - zielone, o fascynującym odcieniu. Lecz teraz wyzierał z nich głęboki smutek.

Coś ścisnęło go za gardło.

- Co zrobiłem? - powtórzył, lekko zaciskając palce na ramionach Mindy.

- Sprawiliś, że...

- Co sprawiłem?

- Obudziłeś we mnie coś, czego nie odczuwałam od... od bardzo dawna. A potem... potem dotknąłeś mnie tak, jak nikt nigdy mnie nie dotykał.

- Och, Mindy...

Nie potrafił się powstrzymać.

Mimo zamkniętych oczu z łatwością odnalazł jej usta. Może dlatego, że dziewczyna nieco mu pomogła. A może dlatego, że po raz pierwszy w życiu dokładnie wiedział, czego chce. Delikatnie ujął w dłonie drobną buzię i wargami musnął rozchylone usta. Po chwili odsunął się i utkwiał wzrok w twarzy Mindy, niepewny, czy ma przed sobą istotę realną, z krwi i kości.

Była realna, natychmiast się o tym przekonał. Czuł bijące od niej ciepło i rozkoszny zapach jej ciała. Słyszał szybki oddech i widział źrenice oczu rozszerzone z pożądania. I gdyby zechciał, mógłby się przekonać, jak smakuje jej usta.

Zechciał. Tym razem całował mocniej i bardziej zaborczo. Ponownie Mindy wyszła mu naprzeciw. Chętnie by ją zaspokoił, sam folgując swoim pragnieniom. Lecz zbliżało się Boże Narodzenie, czas dawania, a nie brania.

Przesunął czubkiem języka po dolnej wardze Mindy i korzystając z jej zaskoczenia, wsunął go do ust. Jej wargi miały cudowny smak. Jak... jak szczęście. Chwilę potem Reed przestał w ogóle myśleć. Całował teraz Mindy szaleńczo i zachłannie.

Jęknęła, lecz nie odepchnęła go od siebie. Przeciwnie. Chwyciła Reeda za sweter i zacisnęła palce na grubej wełnie. Pragnęła, aby ten mężczyzna znalazł się jeszcze bliżej, bliżej...

Przeczesał palcami jej długie włosy, luźno zwisające przy szyi, a potem sięgnął wyżej i ściągnął przepaskę. Bujne loki Mindy opadły kaskadą na jego ręce. Chwilę potem mocniej objął ją i przyciągnął do siebie.

Dotknęła lekko Reeda. Jęknął z wrażenia.

Była ciepła, miękka i kusząca. Od dawna nie trzymał w taki sposób żadnej kobiety.

Ustami musnął kark Mindy i delikatnie podrażnił językiem wrażliwą skórę u nasady szyi. Ogarnęło go szaleńcze pragnienie posiadania tej kobiety. Pożądał jej każdym nerwem swego ciała. Miał już wiele, lecz chciał dostać więcej... Znacznie więcej.

Delikatnie musnął jej pierś. Gdy jęknęła, wrócił wargami do rozchylnych ust.

- Och! Proszę...! Reed nie wiedział, o co go prosi. Ponagliła go, czy też

chciała, by zaprzestał pieszczot? Poczuł, jak Mindy kurczowo zaciska palce na jego ramieniu. Odsunął się na tyle, aby móc spojrzeć jej w twarz. To, co zobaczył, było prawdziwym wstrząsem.

W oczach Mindy jawiły się niewypowiedziany smutek i ból. Reed nie mógł pojąć, dlaczego. Był przekonany, że ta kobieta pragnie tego samego, co on. Tak spontanicznie i szybko odpowiadała na pieszczoty. Sądził, że oboje doznają tych samych uczuć.

Widocznie się mylił. Mindy Harmon nie pragnęła żadnych pieszczot.

Od razu puścił ją i cofnął się o krok, chcąc udowodnić, że nie zamierza wykorzystywać sytuacji. Przez chwilę stała nieruchomo, nerwowo zaciskając palce. Jej oczy...

Jej oczy były jak morska otchłań. Zielone, pełne bezbrzeżnego smutku. Gdyby tylko Reed wiedział, dlaczego...

- Przepraszam - powiedział szybko. - Nie chciałem, aby tak się stało. Zwłaszcza że obiecałem... Przykro mi - zakończył niezdarnie. Słowa Reeda jeszcze bardziej pogłębiły smutek malujący się na twarzy Mindy.

- Wiem, że nie chciałeś, aby tak się stało - powiedziała łagodnym głosem. - I że jest ci przykro.

- Tak. To znaczy - nie. Chciałem tylko... Nie chciałem. .. - Reed plątał się coraz bardziej.

Uprzytomnił sobie, że nie jest w stanie wyjaśnić Mindy, dlaczego tak się zachował. Niczego by nie zrozumiała. Pragnął być blisko niej. Była tak pełna życia... Powinien jednak poczekać, aż sama obdarzy go serdecznością i ciepłem. Zrobił błąd. Zachował się zbyt obcesowo.

- To już się nie powtórzy - zapewnił bez przekonania.

- Obiecuję.

- Nie powtórzy - potwierdziła martwym głosem Mindy. - Bo zaraz opuścisz moje mieszkanie i nigdy więcej nie wrócisz ani tutaj, ani do restauracji. Swój dobry uczynek możesz uznać za spełniony. Nie ma żadnego powodu, abyśmy jeszcze kiedyś mieli się spotkać. Jasne?

Nie odpowiedział. Nie potrafił. Nie mógł na to przystać. Czekał na odpowiedź, Mindy skuliła ramiona, tak jakby nagle przeniknął ją mróz.

- Jasne? - Głosem silniejszym niż poprzednio domagała się potwierdzenia.

Reed nadal milczał.

Mindy nie spuszczała wzroku z jego twarzy.

Trudno było pojąć, co się właściwie dzieje. Reed nie potrafił uporać się z miotającymi nim emocjami. Tak więc bez słowa ruszył w stronę kanapy, aby wziąć pozostawioną tam kurtkę. Włożył ją powoli i skierował kroki ku wyjściu.

Postanowił opuścić dom bez pożegnania, gdyż nie miał pojęcia, co powiedzieć. Kiedy jednak stanął w drzwiach, uprzytomnił sobie, że to jeszcze bardziej pogorszy sprawę. Odwrócił się szybko. Zobaczył, że Mindy nadal stoi nieruchomo.

Była taka drobna, krucha i blada... Przypominała niezmierną istotę. Anioła.

- Jeszcze się zobaczymy - oświadczył.

- Nie.

- To dopiero początek. Nie możemy tak tego zostawić.

- Musimy. Przecież nic się nie stało. To było tylko...

- Co? W odpowiedzi milcząco potrząsnęła głową.

- Do zobaczenia - rzucił Reed na odchodnym. Zanim zdołała zaprotestować, już go nie było.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Reed dotrzymał słowa. Mindy przekonała się o tym już następnego wieczoru, kiedy znów zapukał do jej drzwi, objuczony dwiema pękatymi papierowymi torbami. Znów był ubrany w wytarte dżinsy, sweter oraz skórzaną kurtkę, i wyglądał niezwykle atrakcyjnie. Jedyna różnica polegała na tym, że dziś sweter był szary, a w torbach znajdowały się włoskie potrawy. Mindy poznała to po zapachu czosnku, bazylii i innych ziół.

Aha, i była jeszcze jedna różnica. Tym razem Reed miał minę bardzo niepewną.

- Nie zatrzasnij przede mną drzwi - poprosił, a ona uśmiechnęła się z przymusem.

- Jak widzę, czytasz w moich myślach - powiedziała łagodnym tonem. - Czy twoje nadludzkie akty dobrej woli naprawdę nie mają granic?

Reed podniósł wzrok.

- Nie rozumiem.

Wzruszyła nonszalancko ramionami, chcąc ukryć rozczulenie.

- Jesteś przecież lekarzem, ratujesz ludzkie życie. Nie wystarczy ci, że harujesz w szpitalu? Musisz brać nadgodziny i zajmować się osobami zdrowymi, które ponadto same potrafią o siebie zadbać?

- Nie robię niczego nadzwyczajnego, a dzięki temu czuję się prawdziwym człowiekiem - oznajmił Reed.

Mindy postanowiła na razie zignorować jego zagadkowe słowa, dlatego wyczekująco milczała.

- A poza tym wcale nie jesteś okazem zdrowia. Wieczorem w restauracji prawie zemdlałaś. Źle znosisz ciążę.

- Och, daj spokój...

- Nie potrafisz też o siebie zadbać, gdyż niedługo znajdziesz się na ulicy. Zimą, kilka miesięcy przed rozwiązaniem.

- To nie twoja sprawa...

- Jest jeszcze jeden powód. - Znow jej przerwał, ale szybko zamilkł.

- Jaki? - spytała zaciekawiona.

- Być może robię to wcale nie dlatego, aby ocalić ci życie. Zaintrygował ją jeszcze bardziej.

- A więc dlaczego?

- By ratować siebie.

- Nie rozumiem... Reed przerwał tę niebezpieczną rozmowę i zapytał:

- Mogę wejść do środka? Obiecuję, że dzisiaj będę zachowywał się przyzwoicie.

Mindy bardziej niż Reeda obawiała się siebie. Nadal nie pojmowała, jak to się stało, że wczoraj padli sobie w objęcia. Nie potrafiła mu się oprzeć. Był atrakcyjny i sympatyczny. Podczas kolacji prowadzili szczerą, prawie intymną rozmowę. Mindy już dawno zapomniała, kiedy po raz ostatni tak bardzo cieszyła się czyimś towarzystwem. Do tej pory nie zdawała sobie sprawy z własnej samotności.

Tak naprawdę przez całe życie była samotna.

Przy Reedzie rozluźniła się. Zadowolona z jego obecności, przestała się kontrolować. Zapomniała, że tak naprawdę nic ich nie łączy, ponieważ należą do zupełnie innych światów. Zapomniała, że Reed był, jest i będzie mężczyzną zupełnie dla niej nieodpowiednim. Zapomniała także o tym, że doktor Atchison spełniał jedynie dobry uczynek.

Mówił, że myślał o niej, leżąc w łóżku. Twierdził, że była mu potrzebna. Mindy na chwilę zamknęła oczy. Reed sprawił, że przy nim po raz pierwszy w życiu poczuła się prawdziwą kobietą.

Sam Harmon nie był czułym kochankiem. Miał duże wymagania seksualne, lecz myślał wyłącznie o własnym zaspokojeniu i zaraz potem odwracał się na bok i zasypiał.

Reed jest na pewno inny, czuły i oddany partnerce, rozumie bowiem, że prawdziwe szczęście i rozkosz można przeżywać tylko wspólnie. Wczoraj sprawił, że Mindy zaczęła go rozpaczliwie pożądać, dlatego z niezwykłą żarliwością odwzajemniła pocałunek, jakby miał być ostatnim w jej życiu.

Ledwie знаła tego człowieka, a mimo to pragnęła go tak bardzo. I potrzebowała. Chciała, by byli razem...

- Mindy?

Męski głos wyrwał ją z rozmyślań. Dopiero teraz zrozumiała, jak daleko sięgały jej fantazje, a były przecież zupełnie nierealne. Co więcej, dla własnego dobra powinna natychmiast zerwać tę znajomość.

Wiedziała, że w żadnym wypadku nie powinna zapraszać Reeda do domu, a mimo to odsunęła się i zrobiła mu przejście. Poczula znajomy już zapach wody toaletowej, który wprost uderzył jej do głowy.

- W lodówce mam zapas jedzenia na dwa tygodnie - przypomniała, spoglądając na brązowe torby. - I co ja mam z tym zrobić?

- Włóż do zamrażalnika. - Wzruszył ramionami i przyjrzał się uważnie Mindy. - Och, całkiem zapomniałem, że za dwa tygodnie nie będziesz już miała dachu nad głową. I lodówki. Przepraszam. Powiedziałem to zupełnie bezmyślnie. - Zawahał się i po chwili dorzucił: - Zresztą podczas mrozów lodówka nie będzie ci potrzebna, masz więc problem z głowy.

- Kiepski dowcip - mruknęła Mindy, krzyżując ręce na piersiach, gdyż po słowach Reeda przeszył ją nagły chłód.

- Wiem, lecz ja wcale nie zamierzałem żartować, bo taka, niestety, jest prawda. Przecież grozi ci bezdomność, chyba że udało ci się wreszcie coś wynająć.

- Nie, ale mam jeszcze trochę czasu i na pewno coś znajdę.

- Już znalazłaś. Mój apartament przy Cherry Hill jest do twojej dyspozycji.

- Dziękuję, lecz nie skorzystam - oświadczyła Mindy przez zaciśnięte zęby.

- Dlaczego? Przecież stoi pusty. Zamieszkał tam, dopóki nie wynajmiesz czegoś odpowiedniego.

- Nie mogę.

- Dlaczego?

- Och, daj spokój! Reed mocno zacisnął dłonie na papierowych torbach i zmierzył Mindy surowym wzrokiem.

- Nie licz na to.

- Co powiedziałaś? - spytała, mimo że dobrze słyszała słowa Reeda.

- Nie zostawię tak tej sprawy. Ani ciebie.

- Nie ponosisz za mnie żadnej odpowiedzialności!

- Ponoszę. Mindy, z rękoma skrzyżowanymi na piersiach, zrobiła kilka kroków w jego kierunku. Była naprawdę wściekła.

- Zechcesz mi to łaskawie wytłumaczyć? - zażądała ostrym tonem.

- Oboje jesteśmy ludźmi i powinniśmy nawzajem o siebie dbać.

- Nauczyłeś się tego na wykładach z biologii? - spytała cierpkim głosem.

- Nie, na zajęciach z przedmiotów humanistycznych. Mindy ciężko westchnęła i skinęła głową.

- Sama powinnam się domyślić, że nie jesteś przecież zwyczajnym lekarzem, tylko świętym dobroczyńcą. Zgadza się?

Uśmiechnął się, a ona po raz pierwszy od wczoraj zobaczyła roz pogodzoną twarz Reeda, co złagodziło jej złość.

- Mów do mnie: doktorze Schweitzer - powiedział żartobliwym tonem.

- Bardziej przypominasz mi doktora Jekylla - wypaliła, nie do końca rozumiejąc, co naprawdę ma na myśli.

Atchison nagle spowaźniał i powiedział z zadumą:

- Masz rację, niedawno zrozumiałem, że jestem człowiekiem o różnych obliczach. - Odwrócił się i ruszył w stronę kuchni. Mindy nie była pewna, czy się nie przesłyszała, ale chyba jeszcze dodał: - I nie wiem, kim właściwie jestem.

Postanowiła nie drażnić tego tematu. Być może ostatnia uwaga Reeda była przeznaczona wyłącznie dla niego samego. O co właściwie mu chodziło? Niepotrzebnie też wyskoczyła z tym doktorem Jekyll'em, przemieniającym się w pana Hyde'a. Atchison nie był potworem, lecz dobrym i szlachetnym człowiekiem. Bez wątpienia jednak dręczył go jakiś problem. Miał kłopoty z samym sobą. Mindy w milczeniu przyglądała się, jak jej gość rozpakowuje torby.

Wszystko zaczyna się tak samo jak wczoraj, pomyślała. Lecz ten wieczór skończy się inaczej, ponieważ postanowiła mieć się na baczności i zachować pełną kontrolę nad przebiegiem wypadków.

Kiedy jednak Reed odwrócił się do niej, serce dziewczyny zabiło żywiej. Wprost nie mogła oderwać oczu od jego twarzy, tak niezwykle urodziwej i męskiej.

Wspomniała wczorajsze pocałunki i poczuła się jeszcze bardziej samotna niż kiedykolwiek przedtem. Dla niej ten wieczór będzie się ciągnął w nieskończoność. Miała jednak nadzieję, że poradzi sobie lepiej niż poprzednio.

Byle tylko nie zgasło światło!

Och, lepiej nie zapeszać, pomyślała w panice. Na szczęście jednak lampy nadal się paliły, a lodówka monotonnie warczała. Reed wyciągnął z torby pozostałe pojemniki z jedzeniem oraz butelkę piwa i karton z mlekiem.

- Mam nadzieję, że będzie ci smakować. Wybrałem najbardziej kaloryczne potrawy, bo takie są ci teraz potrzebne. A na deser są lody spumoni.

Reed uśmiechnął się niepewnie, dzięki czemu Mindy od razu poczuła się lepiej. Gdyby tylko potrafiła zrozumieć, co tak naprawdę dzieje się między nimi. Była zadowolona, że na mocy milczącego porozumienia nie wspominają wczorajszego pocałunku. Nie było sensu wracać do tego, co już więcej się nie powtórzy.

- Deser dostaniesz dopiero wtedy, gdy zjesz całą kolację - dorzucił.

Mindy westchnęła z komiczną rozpaczą i zbliżyła się do kuchennego blatu, z którego rozchodziły się smakowite zapachy potraw. To prawda, była głodna, ale nie pragnęła jedzenia. Pożądała Reeda, rozpaczliwie i gorąco. I za wszelką cenę musiała stłumić to uczucie.

- Uwielbiam włoską kuchnię - oświadczyła - a zwłaszcza lody spumoni.

Trzeciego wieczoru Reed zjawił się ponownie. Tym razem - ubrany w stare niebieskie dżinsy i granatowy sweter - przyniósł dwie torby z meksykańskim jedzeniem. Przez następne dni Mindy kolejno zajadała tajskie i greckie potrawy oraz oglądała męskie swetry w kolorach szafirowym i zielonym.

Piątego wieczoru nastąpiła nieznaczną zmianą. Zamiast niebieskich dżinsów Reed miał na sobie workowate spodnie, do złudzenia przypominające portki malarza, a zamiast przyzwoitego swetra - spłowiałą i rozciągniętą bluzę od dresu, pamiętającą studenckie czasy. Nie było papierowych toreb. Ich miejsce zajęły przenośna lodówka oraz wetknięte pod pachę poskładane kartonowe pudła.

Na widok dzisiejszego stroju gościa Mindy nie mogła powstrzymać uśmiechu. Po raz pierwszy to ona była ubrana

bardziej starannie - w czarne legginsy i długą, ciemnozieloną tunikę. A nawet rozpuściła włosy i zrobiła sobie lekki makijaż. Reed zawsze prezentował się wspaniale, więc chciała wyglądać lepiej niż zwykle. Zadziwił ją. Co planował na ten wieczór?

- Liczyłam na niemieckie jedzenie - zażartowała, chcąc pokryć zmieszanie spowodowane różnicą strojów.

- Pomyślałem, że zanim zabierzemy się do pakowania i porządkowania, odgrzejemy sobie coś z lodówki.

- Jak to: pakowania i porządkowania? - Mindy obrzuciła Reeda podejrzliwym wzrokiem.

- Musimy przygotować się do przeprowadzki. - Powiedział to takim tonem, jakby wszystko było uzgodnione wcześniej. - Wspominałaś, że ten lokal wynajęłaś z umeblowaniem, więc pewnie masz niewiele własnych rzeczy. A że jesteś osobą pedantyczną, porządki nie zajmą nam wiele czasu. Odbierzesz kaucję i za jakieś trzy godziny znajdziesz się w moim apartamencie.

Serce Mindy zabiło żywiej, tym razem jednak nie ze złości. Lecz mimo iż poczuła do Reeda głęboką wdzięczność, postanowiła się nie poddawać.

- Nie będziemy niczego porządkować ani pakować - powiedziała łagodnie.

Reed zrobił krok w przód. Szybko odsunęła się na bok, tak że przeszedł obok niej.

- O ile dobrze pamiętam, za kilka dni musisz opuścić to mieszkanie - zauważył.

- Prawie tydzień. To dużo czasu. Na pewno jeszcze coś znajdę - powiedziała.

Nawet w jej własnych uszach stwierdzenie to zabrzmiało rozpaczliwie. Mimo to uczepliła się go jak tonący brzytwy.

Lecz w głębi serca czuła, że dalszy opór jest bezsensowny, bowiem jej najbliższa przyszłość przedstawiała się gorzej niż

źle. Martwiąc się o własny los, od kilku dni nie mogła spać. W bezsenne noce powracała też myślami do Reeda.

- Jeśli nawet coś znajdziesz, to i tak nie uda ci się przeprowadzić w ciągu paru dni - argumentował. - Będziesz musiała załatwić formalności, podpisać umowę najmu i wpłacić zaliczkę. Tak czy inaczej, musisz gdzieś na jakiś czas zamieszkać, a apartament przy Cherry Hill stoi pusty. Nie powinnaś odrzucać mojej propozycji.

Mindy sama dobrze o tym wiedziała. Odkąd po raz pierwszy Reed zaofiarował jej mieszkanie, przez cały czas zastanawiała się, dlaczego do jego propozycji podchodzi z tak wielką niechęcią. .

Po kilku wspólnych wieczorach, po wielu przegadanych godzinach, poznała Reeda znacznie lepiej niż wiele innych osób ze swego otoczenia. Wiedziała, iż kształcił się w najdroższych szkołach, że lata nauki spędził w internatach, umie grać w polo, chętnie żegluje i chodzi na wszystkie filmy z Emmą Thompson. Nie ma rodzeństwa, rodzice już nie żyją, a krewni są porzrzućani po całym kraju. Studiował nauki humanistyczne, biologię i medycynę. Przez krótki czas nawet myślał o zawodzie nauczycielskim. Będąc małym chłopcem, marzył o posiadaniu boa dusiciela, ale musiał zadowolić się spanielami, gdyż jego matka była osobą rozsądną.

Poza tym Mindy doszła do wniosku, że Reed jest człowiekiem sympatycznym i uczynnym. Dysponował pustym mieszkaniem, w którym byłaby bezpieczna, miałyby wszelkie wygody i blisko do pracy. Instynktownie wierzyła zapewnieniom Reeda, że starając się jej pomóc, postępuje bezinteresownie.

Mimo to nadal...

- Co ty na to? - zapytał. - W ciągu kilku godzin załatwimy przeprowadzkę.

Nadal czuła wewnętrzny opór. Dlaczego? W propozycji Reeda było coś, co Mindy bardzo niepokoiło. Czyżby świadomość, że do końca życia pozostanie jego dłużniczką, gdyż nigdy nie będzie w stanie spłacić zaciągniętego długu?

A może obawiała się tego, co może się wydarzyć, kiedy zamieszka w apartamencie doktora Atchisona? Bała się nie jego, lecz siebie. Jeśli chodzi o mężczyzn, zawsze podejmowała złe decyzje. Nie miała pojęcia, jak długo potrafi widywać Reeda i nie zaangażować się uczuciowo. Groziła jej kolejna afera uczuciowa.

- Telefonowałam w sprawie nowego mieszkania - powiedziała, odpędzając niepokojące myśli.

- Dokąd?

- Do dwóch pobliskich schronisk.

- Schronisk? - powtórzył z niedowierzaniem w głosie.

Mindy skinęła głową i odwróciła wzrok.

- W jednym mogłabym zamieszkać do połowy stycznia, a może nawet dłużej. Do tej pory powinno mi się udać coś wynająć.

- Schronisk? - ponownie powtórzył Reed, t a k jakby nie dosłyszał następnych słów Mindy.

Energicznie skinęła głową.

- To dobre wyjście. Otrzymam kartki na bezpłatne posiłki, tak że będę miała co jeść po tym, jak wyprowadzę się ze schroniska. A kiedy urodzi się dziecko, zostanę objęta programem opieki społecznej - ciągnęła niewzruszenie.

- Wolisz korzystać z zasiłku, niż przyjąć moją propozycję?! - zapytał głęboko wstrząśnięty Reed.

- To nic złego. - Z godnością uniosła głowę. - Pracuję od szesnastego roku życia i płacę podatki, z których finansuje się pomoc społeczną, więc mam teraz moralne prawo skorzystać z zasiłku. Nie ma w tym niczego niewłaściwego - podkreśliła ponownie.

Miała w nosie snobizm Reeda.

- Chyba mnie nie zrozumiałaś - powiedział po chwili.

- Czyżby? Ciężko westchnął i postawił przenośną lodówkę na podłodze, a kartony złożył na blacie.

- Gdy człowiek nie ma gdzie się podziać, schronisko jest dobrym rozwiązaniem - potwierdził. - Ale ty, Mindy, - dodał z naciskiem - masz dokąd się przeprowadzić. Nie powinnaś korzystać z zasiłku, skoro masz... masz...

- Co? A może kogo? - spytała zaczepnie. - Opiekuna? Sponsora? Dobrego wujaszka?

- Przyjaciela - sprostował Reed. - Dlaczego nie chcesz, abym został twoim przyjacielem?

Bo nie, odparła w myśli. Bo pragnęła od niego znacznie więcej. Czegoś absolutnie nierealnego.

- Nie chcę cię wykorzystywać - powiedziała.

- Mnie? - Reed prychnął z niedowierzaniem. - Byłem przekonany, że obawiasz się, iż to ja będę próbował cię wykorzystać.

- Już tak nie myślę - odparła spokojnie. - Teraz, kiedy poznałam cię lepiej, wiem, że nigdy... - urwała.

- Dokończ, proszę.

- Nigdy nie zrobiłbyś mi nic złego.

- A więc dlaczego nie pozwalasz mi uczynić czegoś dobrego?

Nie wiedziała, co powiedzieć, więc milczała.

- Mindy. - Reed westchnął i uśmiechnął się smutno. - Zrób to. Dla mnie. Pozwól mi sobie pomóc.

Nadal była pełna wątpliwości.

Reed podszedł i stanął tuż przy niej. Była tak zaskoczona, że nawet nie drgnęła, gdy przesunął dłońią po jej twarzy.

Pieszczota była delikatna i niewinna, a mimo to Mindy zamrugnęła powiekami i odruchowo poruszyła głową.

- Jeśli nie chcesz zrobić tego, o co proszę, ani dla siebie, ani dla mnie - powiedział aksamitnym głosem - uczyn to dla dziecka.

Uff... Był to argument nie do odparcia. I do tego wypowiedziany tak ciepło i serdecznie... w połączeniu z subtelną pieśczołą...

Otrząsnąwszy się z wrażenia, Mindy utwierdziła się w przekonaniu, że musi odrzucić propozycję Reeda. Nie miała żadnych szans. Była biedną, ciężarną kelnerką bez przyszłości, a on majętnym lekarzem, żyjącym w innym świecie. Troszczył się o nią z poczucia przyzwoitości, bo był porządnym facetem.

Który postanowił uczcić Boże Narodzenie dobrym uczynkiem.

Reed nie mógł się w niej zakochać. Było to niemożliwe i Mindy doskonale o tym wiedziała.

Odruchowo dotknęła brzucha. Była odpowiedzialna za dziecko, które niedługo przyjdzie na świat. Powinna zapewnić mu opiekę, ciepło, miłość, wychować je w dostatku i poczuciu bezpieczeństwa.

To wszystko było na wyciągnięcie ręki. Wystarczyło zgodzić się na propozycję Reeda... to znaczy pogodzić się z faktem, że rozpaczliwie potrzebowała pomocy i że znalazł się ktoś, kto mógł jej udzielić.

Dlaczego tak trudno było jej podjąć decyzję? Przecież dokładnie to samo zrobiłaby dla Reeda, gdyby zamienili się miejscami.

Musiała tylko zdobyć się na jedno. Stłumić w sobie rodzące się uczucie do tego mężczyzny.

Mindy uznała, że z uwagi na dobro dziecka jest w stanie uporać się z tym problemem. Musi tylko przestać myśleć wyłącznie o sobie i wrócić z obłoków na ziemię.

- Zgoda - oświadczyła, cofając się o krok. - Przyjmuję twoją propozycję, ale tylko na jakiś czas, dopóki nie znajdę jakiegoś mieszkania. - Spojrzała na Reeda. - Bardzo ci dziękuję. Doceniam to, co dla mnie robisz. - Poglaskała się po brzuchu. - Dla nas - sprecyzowała z uśmiechem.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

- A gdzie choinka?

Reed, by pokryć zmieszanie, długo i starannie ustawiał na podłodze salonu trzy kartonowe pudła zawierające cały dobytek Mindy Harmon. Jakby jednej kontuzji było mało, nie mógł sobie wybaczyć, że w pomieszczeniu jest bardzo zimno, ponieważ będąc tu ostatnim razem, ustawił temperaturę termostatu na niską.

Wyprostował się, bezskutecznie szukając w myśli sensownej odpowiedzi, tłumaczącej przynajmniej jedną z jego wpadek, lecz na szczęście wyręczyła go Mindy:

- Och, zupełnie zapomniałam, że tu nie mieszkasz. To dlatego nie ma tu udekorowanego drzewka?

No cóż, odpowiedź nie jest taka prosta, pomyślał Reed. Czyżby uważał święta za dopust Boży? Czyżby zupełnie mu nie zależało na cieplej, rodzinnej atmosferze? A bożonarodzeniowe życzenia uważał za niepotrzebny rytuał?

Bzdury!

- Nawet gdybym tu mieszkał, i tak nie kupiłbym choinki - powiedział odruchowo.

- Ach tak, rozumiem! - roześmiała się Mindy - przecież masz różne oblicza. Kim jesteś dzisiaj, doktorze? Ebenezerem Scrooge'em. Postać starego, antypatycznego i ponurego sknery z „Opowieści wigilijnej” Karola Dickensa (przyp. tłum.)?

Lecz Reedowi wcale nie było do śmiechu, co widząc, Mindy natychmiast spoważniała.

- Mówiłeś serio. - Widać było, że z trudem mieści się jej to w głowie. - Nawet gdybyś tu mieszkał, nie byłoby choinki.

- Po co miałbym zawracać sobie głowę? Nie obchodzę Bożego Narodzenia.

Mindy uderzyła się ręką w czoło.

- Przepraszam, popełniłam nietakt. Chyba już rozumiem, o co chodzi. - Rozejrzała się po pokoju. - Ale nigdzie nie widzę menory.

- Zgadza się.

- Dlaczego?

- Bo nie jestem Żydem.

- Och, ale...

- I nie poszczę podczas ramadanu. W ogóle nie obchodzę żadnych religijnych świąt - oświadczył Reed.,

- Jesteś ateistą? - spytała Mindy.

- Nie, po prostu nie celebruję Bożego Narodzenia. I to wszystko.

- Ale dlaczego? - Mindy nie dawała za wygraną. Reed robił się coraz bardziej rozdrażniony i spięty. Nie miał ochoty na tę rozmowę, ani teraz, ani potem. Nigdy. Więc milczał.

- Czyżbyś należał do tych, którzy uważają, że to święto zbyt się skomercjalizowało? Nie wiedziałam, że sama myśl o Bożym Narodzeniu zamienia cię w...

- Scrooge'a? - podpowiedział Reed.

Mindy skinęła głową.

Naprawdę nie wiedział, jak wytłumaczyć tej dziewczynie swój stosunek do wszelkich świąt. W końcu postanowił uciąć rozmowę.

- To nie twoja sprawa - warknął z niechęcią.

- Jasne, że nie moja. Ale czy na pewno? Przecież ty również wtrącasz się w moje życie - odcięła się natychmiast.

- To fakt - przyznał z ponurą miną.

- Po prostu dziwię się, że nie obchodzisz Bożego Narodzenia, skoro jesteś chrześcijaninem.

- Nie każdy robi się o tej porze roku sentymentalny - wymamrotał Reed, zdając sobie sprawę z tego, że w jego głosie pobrzmiwa gorycz. - Do licha, czy nie możemy mówić o czymś innym?

Mindy bez przekonania skinęła głową.

- Dobrze, niech będzie.

Reed odetchnął z ulgą. Czuł się znacznie lepiej, mówiąc o sprawach przyziemnych. Oprowadził Mindy po mieszkaniu i objaśnił działanie termostatu, sposób pozbywania się śmieci i uruchamiania zmywarki. Mindy nie zadawała żadnych pytań. Reedowi wydawało się, że ledwie go słucha i błądzi myślami daleko stąd. Podejrzewał, że nadal dręczy ją problem świąt.

Gdy obejrzelili już wszystko, co było do obejrzenia, powiedział:

- Boże Narodzenie nigdy nie miało dla mnie większego znaczenia.

- W twoim domu nie obchodzą Gwiazdki? - Mindy natychmiast podchwyciła temat.

- Obchodzą, obchodzą - mruknął. - Ale dość specyficznie. - Nie potrafił powstrzymać się od cierpkiego komentarza. - W święta nasz dom wyglądał imponująco. Gigantyczna choinka w sali balowej, mniejsze drzewka w foyer, salonie i gabinecie. Stos pięknie opakowanych prezentów piętrzył się aż do sufitu. Przyjęcia, wizyty, kolędy z płyt, świąteczne trunki i co jeszcze chcesz. Moja rodzina uroczyście celebrowała Boże Narodzenie.

- To brzmi cudownie - z rozanieloną miną stwierdziła Mindy. - Chciałabym spędzić święta w twoim domu.

Reedowi stanęła przed oczyma mała, plastikowa choinka i papierowe łańcuchy, pieczołowicie spakowane do jednego z kartonowych pudeł. Mindy, mimo że bez grosza, zrobiła wszystko, aby upiększyć swoje nędzne mieszkanie. Jej świąteczne dekoracje po stokroć bardziej chwytaly za serce niż kosztujące majątek cuda w rezydencji Atchisonów.

W przeciwieństwie do jego rodziców, którzy zawsze i we wszystkim musieli być najlepsimi, Mindy nigdy nie starała się

imponować całemu światu, wszystko bowiem co robiła, wynikało z potrzeby serca.

Do dziś Reed pamiętał ciągle uzalania się matki, że święta pochłaniają tyle czasu i energii. Najbardziej denerwowało ją to, że jako osoba z towarzystwa musiała brać udział w różnych akcjach charytatywnych. Organizując przyjęcia dla ubogich lub podpisując czeki dla organizacji dobroczynnych, pani Atchison uśmiechała się promiennie - lecz w duchu przepełniała ją złość.

Kiedyś Reed, będąc chłopcem, z wielkim zapałem wykonał w szkole kilkanaście ozdób na choinkę i gdy z dumą zaczął wieszać je na drzewku, usłyszał głos matki: „Och, Reed, mój drogi, wybacz, ale twoje ozdoby zupełnie nie pasują do całej kompozycji. Proszę cię, zawieś je na dole, z tyłu, by nikt z gości ich nie zauważył”.

Pamiętał też, jak ojciec stanowczo zażądał, aby ich gwiazdkowe przyjęcie zaćmiło swoim przepychem ubiegłoroczną fetę u Scofieldów, na co był gotów wyłożyć każde pieniądze, a jednocześnie był wściekły, że zgodnie z odwiecznym obyczajem musi wyrzucać dolary w błoto na upominki dla pracowników, którzy i tak „są leniami i obibokami”. Pamiętał również, jak ojciec go zbeształ: „Reed, co ty sobie, u licha, właściwie wyobrażałeś, kupując mi butelkę wody Old Spice? To prezent dobry dla szofera. Czyżbyś miał za małe kieszonkowe?”

- Święta u Atchisonów wcale by ci się nie spodobały - oświadczył Reed. - Bogato przystrojona choinka, góry drogich prezentów i wykwintne jedzenie to zbyt mało, by w domu zagościło prawdziwe Boże Narodzenie. Betlejemska stajenka była uboga, a najcenniejsze skarby kryją się w ludzkich duszach.

Po minie Mindy widać było, że chętnie dowiedziałyby się czegoś więcej o świątecznych obyczajach Atchisonów, lecz

Reed nie miał ochoty do dalszych zwierzeń. Przed laty ukrył te wspomnienia bardzo głęboko, uznał za nieważne i niebyłe, odciął się od dziecięcych lat i żył, nie oglądając się za siebie.

- Może postawisz tu małą choinkę. Zajmie niewiele miejsca - zaproponowała Mindy.

Przez chwilę się jej przyglądał. Dostrzegł pełen nadziei uśmiech i niemą prośbę.

- Nie przejmuj się mną - powiedział łagodnym tonem. - Miło, że próbujesz... - Wzruszył ramionami. - Ale nic nie zdziałasz. To przegrana sprawa. Każdy powie ci to samo.

Wargi Mindy rozchyliły się nieznacznie, a policzki po - różowiały. Reed czekał na słowa dziewczyny, lecz ona milczała. No, wreszcie dała za wygraną, pomyślał.

Powinien się z tego cieszyć, ale nagle poczuł się zawiedziony. I... pusty w środku. Wyzuty z wszelkich uczuć. Przez chwilę ocierał się o cudowną, intymną tajemnicę, lecz wszystko zepsuł, gdy brutalnie odrzucił ją od siebie i rozbił na milion kawałków.

Ruszył w stronę wyjściowych drzwi. Cóż tu po nim? Musi uciec stąd jak najdalej, by skryć się przed oczyma Mindy. Ufnymi jak u dziecka, a teraz przyćmionymi wyrazem poczucia krzywdy. Reed wiedział, że zachował się podle - jak ktoś, kto sześćioletniej dziewczynce, z wypiekami na twarzy oczekującej na świąteczne prezenty, oznajmia brutalnie i drwiąco, że Święty Mikołaj nie istnieje.

No cóż, Mindy nie była już dzieckiem. To dorosła kobieta, która niedługo zostanie matką. Czas wrócić do rzeczywistości, pomyślał doktor Atchison.

- Z głodu nie umrzesz - stwierdził na odchodnym. - Lodówka jest pełna, niczego nie powinno ci zabraknąć.

- Reed...

- W szafie są dodatkowe koce - ciągnął pospiesznie, celowo zagłuszając ciepły, serdeczny głos Mindy. - Przybory

toaletowe masz w łazience. Wypisz na kartce, czego ci brakuje, a jutro po nią wpadnę.

- Reed...

- Jeśli chcesz, przyjdę w południe. Chyba że idziesz do pracy.

- Evie zwolniła mnie jutro z wieczornej zmiany.

- To dobrze - powiedział głosem bardziej szorstkim, niż zamierzał. - Przed przyjściem zadzwonię.

- Tak, to dobrze... - Głos Mindy zabrzmiał jak smutne echo.

W przedpokoju zwolnił kroku. Dziewczyna wyglądała tak...

- Dobrej nocy - dodał, już z ręką na klamce.

- Dobranoc. Bardzo ci dziękuję.

- Nie ma za co. Wreszcie zamknął za sobą drzwi, lecz stanął w miejscu, niepewny, co robić dalej. Ten brak zdecydowania doprowadzał go do szału.

- Bzdury! - mruknął pod nosem. Był naprawdę wściekły. Co go podkusiło, by dać się wciągnąć w tę bezsensowną, sentymentalną rozmowę o świętach? Sztuczne, nieprawdziwe, ckliwe emocje. Dlaczego jednak tak trudno jest mu odejść od tych drzwi? Reed, do cholery, weź się wreszcie w garść, zgromił siebie w duchu.

Szybkim, zbyt szybkim krokiem ruszył przed siebie.

Boże Narodzenie! Też coś! Komu ono jest potrzebne?

Po drugiej stronie drzwi Mindy przyłożyła oko do judasza i zastanawiała się, dlaczego Reed jeszcze sobie nie poszedł. Z niezbyt jasnych powodów stał tak przez dłuższy czas. Po chwili cicho wymamrotał: „bzdury”. Pewnie by się roześmiała, gdyby nie to, że jego głos zabrzmiał dziwnie smutno.

Gdy wreszcie odszedł, wróciła do salonu i rozejrzała się wokół siebie. Jeszcze nigdy nie przebywała w tak wytwornym

wnętrzu. Na każdym kroku czuło się wielkie pieniądze i wyrafinowany gust.

Nie powinna się tu wprowadzać, mimo że nie miała gdzie się podziąć i gdyby nie przyjęła propozycji Reeda, znalazłaby się na ulicy. Nadal jednak uważała, że popełniła duży błąd. No cóż... pogłaskała się po brzuchu i powiedziała miękki głosem:

- Zrobiłam to dla ciebie, dziecinko. Żebyś była bezpieczna i zdrowa. Mam nadzieję, że postąpiłam słusznie.

Natychmiast poczuła się rażniej. Zaraz weźmie kąpiel, włoży piżamę, zje kolację, a potem w telewizji kablowej obejrzy jakiś film.

Uśmiechnęła się. Wiele czasu upłynęło od chwili, gdy po raz ostatni oglądała telewizję, a teraz miała do wyboru mnóstwo programów. Lubiła stare, świąteczne programy i filmy, a teraz pewnie będą one na wizji nieustannie aż do samego Bożego Narodzenia. Mindy miała ochotę obejrzeć ich jak najwięcej.

Z pudła wyciągnęła piżamę i nucąc coś pod nosem, poszła do łazienki.

Reed był przekonany, że gdy tylko ulokuje Mindy w apartamencie, przestanie się o nią martwić. Będzie jak zwykle chodził do szpitala i wykonywał swoją pracę, nie zastanawiając się nad tym, co robi jego podopieczna. Oczywiście od czasu do czasu wyskoczy z Sethem na lunch lub na kolację, ale będzie omijać restaurację „U Evie”, bo inaczej Mindy pomyśli, że doktor Atchison nadal zamierza wtrącać się w jej życie.

Jednak mylił się, sądząc, iż jego życie potoczy się dawnym torem.

To, że Mindy zamieszkała w apartamencie przy Cherry Hill, że krzątała się po jego kuchni i spała w jego łóżku, ogromnie działało na wyobraźnię Reeda. Zamiast cieszyć się,

że dzięki niemu ta doświadczona przez los kobieta mieszka w dobrych warunkach, nie musi brać nadgodzin, by zarobić na czynsz, przyzwyczajenie się wysypia i odżywia, Reed wciąż odczuwał dziwny niepokój.

Czuł bowiem, że powinien dla Mindy zrobić coś jeszcze, by jej życie stało się łatwiejsze. Niestety, nie wiedział, co, i dlatego wciąż był zdenerwowany.

Rzucił się więc w wir pracy, nadaktywnością zawodową próbując zagłuszyć dręczący go niepokój. Pomagało, ale tylko na krótką metę, bowiem gdy opuszczał szpital, znów wracało uczucie, że nie jest w porządku w stosunku do Mindy Harmon.

Święta zbliżały się wielkimi krokami i wszyscy, zarówno personel, jak i pacjenci, stawali się weselsi i bardziej przyjaźni. Szykowano się do rodzinnych spotkań, radzono się wzajemnie, jakie prezenty kupić dla najbliższych, wszędzie porozwieszane były choinkowe ozdoby.

Jedynie Reed chodził z ponurą miną. Bo niby z czego miałby się cieszyć? Przecież ta przedświąteczna gorączka nie miała żadnego sensu. Grudzień jak zwykle był zimny, mokry i wilgotny, śnieg na jezdniach szybko zamieniał się w błoto. Dni były ponure i krótkie, a noce zimne i nieprzyjemne. Zachmurzone niebo nie przepuszczało słonecznych promieni.

Na ulicach panował nieznośny ruch, wszyscy bowiem ganieli od sklepu do sklepu w pogoni za prezentami. Co za bezsens! - ludzie wydawali więcej, niż było ich na to stać, zaciągali więc w bankach kredyty.

Nawet w szpitalu nikt nie był w nastroju do pracy, a przecież o tej porze roku było mnóstwo wypadków drogowych, rodzinnych awantur owocujących ciężkimi urazami, jak również prób samobójczych, wywołanych depresją lub załamaniem nerwowym.

Święta to rzeczywiście wesolutka pora, nie ma co! pomyślał zgryźliwie Reed. Przecież grudzień to najuciąźliwszy i najtragiczniejszy miesiąc w roku. Widać to gołym okiem. No tak, ale większość ludzi zdaje się tego nie dostrzegać, tylko popiskuje z radości, bo Święty Mikołaj już zaprzęga do sań. Co za zbiorowy, absurdalny amok! podsumował doktor Atchison.

Właśnie oglądał kartę jednego z pacjentów, gdy ujrzał Seta. Neurochirurg miał na głowie czapkę Świętego Mikołaja, a na ustach szeroki uśmiech, bowiem lewą ręką obejmował rozanieloną pacjentkę, a prawą - śliczną pielęgniarkę. Cała trójka wprost promieniała radością.

Dlaczego ten facet bez przerwy jest tak cholernie szczęśliwy? zastanawiał się Reed. Czyżby sam fakt, że żyje, sprawiał mu aż tyle przyjemności?

- Reed, właśnie cię szukałem! Święta za pasem, więc w piątek urządzam małe spotkanie. Jesteś mile widziany.

„Małe” spotkanie u Seta oznaczało wielką wiadomość. Mogło przyjść kilkunastu najbliższych przyjaciół i znajomych, ale zdarzało się, że zwałało się nawet dwustu gości. Reed nie czuł się dobrze w tłumie, nawet jeśli otaczały go znane mu osoby. A poza tym ta impreza związana była z Bożym Narodzeniem...

Postanowił odmówić. Seth zdawał sobie sprawę z tego, jaka będzie reakcja przyjaciela, więc przeprosił swe towarzyszkę i ruszył w jego stronę.

- Tym razem nie wystawisz mnie do wiatru - powiedział cicho. - Za rzadko wychodzisz z domu i już zacząłeś przeobrażać się w kraba pustelnika.

Reed uniósł brwi, lecz nie powiedział ani słowa.

- Szczerze mówiąc, twoje ponuractwo zaczyna wychodzić mi bokiem. Mam go już po dziurki w nosie.

- To przestań się koło mnie kręcić - mruknął Reed.

- Miałbym zrezygnować z naszych błyskotliwych konwersacji? Co to, to nie! A poza tym zupełnie nie rozumiem, dlaczego nasze pielęgniarzki wolą ciebie niż mnie, mimo że tak naprawdę nie dorastasz mi do pięt. Ale kto zrozumie kobiety! Tak więc, będąc w twoim towarzystwie, mam większe szanse, by którąś poderwać.

Ostatnie słowa Seta bardzo zdziwiły Reeda. Był przekonany, że sam jego widok odstrasza kobiety.

- Jesteś zdrowo stuknięty - powiedział.

- To zupełnie inna sprawa i być może masz rację - pogodnie zgodził się przyjaciel. - Ale wracając do rzeczy: jak ty to robisz, że najładniejsze dziewczyny wypatrują za tobą oczy? Świat jest pełen niespodzianek. Okazuje się, że drętwi, milczący i ponurzy faceci najbardziej intrygują kobiety.

- Nie jestem drętwy - zaprotestował Reed. - A w ogóle ta rozmowa jest bez sensu.

- Pamiętaj, masz być u mnie w piątek. Drinki o szóstej, kolacja o siódmej.

- Potrawy twojej roboty? - zapytał Reed z obawą.

- Ależ skąd! Tyle razy mi mówiono, że nie mam pojęcia o gotowaniu, aż wreszcie w to uwierzyłem. Na szefową przyjęcia awansowałem małą Mitzi, a ona z wrodzoną sobie bystrością natychmiast zadzwoniła do restauracji i zamówiła wszystko, co potrzeba. Mitzi... Nie uważasz, że w tym imieniu kryje się kocia słodycz? Czy wiesz, jak mało dziewcząt je nosi? - Seth rozmarzył się.

- A co mnie to wszystko obchodzi? - brutalnie sprowadził go na ziemię Reed.

- Gdy tylko poznasz Mitzi, zaczniesz cię obchodzić - powiedział nie zrażony Seth. - I pamiętaj, przyjdź w krawacie. Reed skrzywił się.

- Coraz mniej mi się to podoba - mruknął. Seth uśmiechnął się z zadowoleniem.

- Spodoba ci się, gdy powiem to, co najważniejsze -
oznajmił ze złośliwym błyskiem w oku.

- O co jeszcze chodzi? - warknął Reed. Wycofując się
rakiem, Seth rzucił na odchodnym:

- Musisz przyjść z jakąś dziewczyną, bo będą same pary.
Jeśli przy stole popsujesz symetrię, Mitzi bardzo się rozzłości,
a to grozi kataklizmem. Mitzi jest słodka, ale jak każda dzika
kotka ma ostre pazurki...

Zanim Reed zdołał odpowiedzieć, Seth zniknął. W
piątkowy wieczór nie tylko Mitzi będzie w złym humorze,
pomyślał Atchison, bo skąd, u diabła, miał wytrzasnąć jakąś
dziewczynę? Na tym przyjęciu będzie samotny kołek jak w
plocie, otoczony przez rozbawione pary.

Zaraz, zaraz, mógłby przecież zadzwonić do... Nie, to bez
sensu. Nie będzie zapraszał żadnej kobiety ani na przyjęcie u
Setha, ani u kogo innego. Po co mu to?

- Dokąd miałabym pójść?

W restauracji „U Evie” Mindy stała za barem i
podejrzliwym okiem patrzyła na Setha Mahoneya, rozpartego
na wysokim stołku.

Na pewno się przesłyszała. Nie dość, że Reed ulokował ją
w swoim apartamencie, gdzie, nawiasem mówiąc, wciąż czuła
się nieswojo, to teraz Seth Mahoney zaprasza ją na jakąś
imprezę. Jak ona, skromna kelnerka, w dodatku sama jak
palec, będzie się czuła w otoczeniu nieznanych i należących
do zupełnie innej sfery ludzi?

Seth był jednak bardzo uparty.

- Do mnie. Przyjdź, Mindy, bardzo cię proszę. Będzie
wesoło.

Czy ci dwaj lekarze zupełnie zwariowali? pomyślała w
popłochu. Dlaczego nagle tak bardzo chcieli się z nią
zaprzyjaźnić? Pewnie w Szpitalu Ogólnym jakiś złośliwy
sanitariusz dodaje do wody środki oszłamiające.

- Ogromnie dziękuję za zaproszenie, jest mi bardzo przyjemnie, że o mnie pomyślałeś - powiedziała z wyszukaną grzecznością - ale chyba nie uda mi się przyjść, ponieważ w piątek pracuję na wieczornej zmianie.

- Och, to żaden kłopot. Poprosiłem Donnę, aby cię zastąpiła. Zgodziła się, uznała bowiem, iż musi się jakoś zrehabilitować za to, że pierwszego wieczoru zdradziła nam twoje sekrety.

Mindy potrząsnęła głową, nie mogła jednak powstrzymać się od śmiechu.

- To miło z jej strony, ale nie mogę zrezygnować z piątkowego zarobku. Tak więc... - Wzruszyła ramionami. - Naprawdę mi przykro, ale muszę odmówić.

Seth był zmartwiony, jednak nie poddawał się i nadal kusił dziewczynę:

- Obiecuję ci dobrą zabawę, u mnie zawsze jest wesoło i przyjemnie.

- Nie mogę przyjść - odparła Mindy. - A poza tym nie mam co na siebie włożyć.

- Och, to byle jaka wymówka - stwierdził Seth.

- Ale prawdziwa. Lekarz spojrzał na Mindy z teatralną litością.

- No cóż, naprawdę biedna z ciebie dziewczyna. - Z przesadą smutno pokiwał głową. - Bez grosza przy duszy, nędznie odziana... Jesteś jednym wielkim nieszczęściem. To straszne. - Z lewego oka otarł nie istniejącą łzę. I nagle zmienił ton - już nie kpił, tylko mówił z całą powagą: - Wiesz co, Mindy? Jeszcze nigdy nie widziałem kobiety tak bardzo użalającej się nad samą sobą.

- Co takiego?

Nie zrażony wściekłym spojrzeniem dziewczyny, mówił dalej:

- Jaki przykład dasz dziecku, jeśli przez cały czas będziesz robiła z siebie ofiarę losu? A gdzie twoja godność? Bo chyba ją masz?

- Co to wszystko ma znaczyć?! - Mindy była bliska furii. Seth westchnął.

- Jeśli zależy ci na tym, aby twoje maleństwo w przyszłości wyrosło na godnego litości słabeusza, to nie moja sprawa. Jak sądzisz, czy sałatka z kurczaka jest dziś dobra?

Seth zatopił się w lekturze menu, udając, że Mindy przestała go interesować. Potraktował ją bezceremonialnie, ale nie widział innego wyjścia.

Tak energicznie wyrwała ołówek zatknięty za włosy, że niewiele brakowało, aby go złamała. Ze złością zacisnęła zęby.

Lituje się nad sobą? Robi z siebie ofiarę losu? Nie ma osobistej godności? Ona? Mindy Harmon?!

Seth Mahoney mylił się.

- O której mam przyjść w piątek? - zapytała pod wpływem nagłego impulsu.

Nawet nie podniósł wzroku.

- Och, nie przejmuj się - powiedział obojętnym tonem. - Zapomnij, że cię zapraszałem. To rzeczywiście był zły pomysł. Taka bidulka jak ty popsułaby nam świąteczną zabawę.

- Hej, koleś! - syknęła groźnie. Wreszcie podniósł wzrok znad menu i spojrzał na Mindy.

- O co chodzi? - zapytał z niewinną miną, uradowany, że wyprowadził kelnerkę z równowagi.

- Nie jestem żadną „bidulką”! - z odrazą w głosie niemal wypluła z siebie to ostatnie słowo. - Ani ofiarą losu!

Nie jestem też słaba ani żałosna. I z pewnością nie schrzanię ci przedświątecznego przyjęcia.

Seth ponownie skupił uwagę na jadłospisie.

Zdenerwowana Mindy zaczęła bębnić palcami o ladę.

- Zawsze mówiono mi, że na przyjęciach wprawiam wszystkich w dobry nastrój - oświadczyła.

- Może to i prawda - mruknął Seth, nie patrząc na Mindy.
- Ale nie chcesz stracić pieniędzy, które zarobiłabyś w piątek. Ja to rozumiem.

- Donnie też przyda się dodatkowy zarobek - ustąpiła z wyraźną niechęcią Mindy. - Oszczędza na samochód.

Nadal studiując menu, Seth wyciągnął z zanadru następny argument, który podsunęła mu sama Mindy.

- Przecież nie masz co na siebie włożyć. Ale to już nieważne. Naprawdę nie wiem, co mnie naszło, by cię zapraszać.

Wściekła dziewczyna gniewnie zmrużyła oczy, ale Seth nadal celowo ją ignorował.

- Mam sukienkę, w której byłam na ślubie kuzynki Sama - oświadczyła. - Jest ładna i ma podwyższoną talię, więc zakryje brzuch. Ponieważ schudłam, będzie na mnie dobrze leżała.

Wreszcie doktor Mahoney podniósł wzrok.

- Mindy, nie chcę cię do niczego zmuszać. Jeśli nie masz ochoty przyjąć zaproszenia, wystarczy, że mi o tym powiesz. Jakoś to przeboleję.

Zrozumiała, że Seth przez cały czas celowo ją prowokował, a ona połknęła przynętę. Nie jest przecież żadną bidulką ani ofiarą losu. To prawda, znalazła się w ciężkiej sytuacji, ale właśnie dlatego należy się jej chwila odprężenia. Zbliżają się święta, a przyjęcie u Seta może rzeczywiście będzie udane. Przymknęła sobie, że postara się o to, by piątkowy wieczór upłynął jej jak najprzyjemniej.

Mahoney odłożył menu. Odegrał swoją rolę, a teraz z zainteresowaniem przyglądał się ładnej i dzielnej kobiecie.

Złożyła na brzuchu obie ręce i obrzuciła Seta niechętnym spojrzeniem.

- Wiem, że mnie podpuszczałeś - stwierdziła ze spokojem
- ale przedświąteczne przyjęcie może okazać się miłą odmianą. Dziękuję za zaproszenie. Chętnie z niego skorzystam.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Przekraczając próg mieszkania przyjaciela Reed pomyślał, że Seth świetnie potrafi urządzać przyjęcia. Gości witała ogromna, pięknie przystrojona choinka ustawiona w rogu salonu, w pobliżu szerokich drzwi prowadzących na oświetlony taras.

Ze stereo dyskretnie pobrzmiwała bożonarodzeniowa muzyka, a w powietrzu unosił się kuszący zapach steków z rusztu i miły aromat czerwonego wina.

A jednak Reed czuł się fatalnie. Miał pustkę w sercu i było to doznanie trudne do zdefiniowania i przez to jeszcze bardziej bolesne. Wiedział, że brakuje mu czegoś bardzo ważnego... ale co to było?

Starym zwyczajem odpędził od siebie niepokojące myśli.

No cóż, przyjęcie zaczynało się rozkręcać i Reed postanowił dobrze się bawić. W głębi serca był zadowolony, że przyszedł, ponieważ imprezy u Seta były zawsze udane. Mahoney bowiem promieniował tak wielką radością i życzliwością, że zawsze udzielało się to innym.

- Cieszę się, że wpadłeś - gospodarz z uśmiechem na twarzy powitał Reeda - chociaż nie dotrzymałeś słowa, bo jesteś sam.

- Nie obiecywałem, że kogoś przyprowadzę - szybko zastrzegł się Reed, wręczając gospodarzowi swoje palto.

Miał na sobie elegancki garnitur, jak zwykle ciemny i tradycyjny w kroju, lecz krawat - w celu podkreślenia charakteru spotkania - był utrzymany w nieco weselszej, zielonej tonacji.

Reed zastanawiał się, czy nie przyjść z jakąś partnerką, prawdę mówiąc myślał o Mindy, lecz nie zdobył się na to. No cóż, ich kontakty urwały się. Ona mieszkała w jego apartamencie, lecz Atchison nie dzwonił do niej ani jej nie odwiedzał, przestał również jadać w barze „U Evie”.

W jakiś sposób tęsknił za Mindy, zwłaszcza brakowało mu ich rozmów, lecz z drugiej strony obawiał się tej młodej kobiety, bowiem w jej obecności nawiedzały go różne zdumiewające i dziwaczne myśli, które zakłócały normalne, logiczne rozumowanie.

No i ów nieszczęsny pocałunek. Do tej pory na wspomnienie tego incydentu Red czuł zażenowanie. Tak się dać ponieść bezrozumnej emocji!

Mindy znajdowała się teraz w trudnym okresie i Reed nie widział powodu, by jeszcze bardziej komplikować jej życie. Lepiej było zostawić ją w spokoju.

Zresztą był przekonany, iż tamtego wieczoru zbliżyła ich ku sobie samotność, pogłębiona zbliżającymi się świętami. Chwilowe zauroczenie, nic więcej. Po co więc dziewczynie jakiś przypadkowy „święteczny” romans, gdy miała na głowie dużo poważniejsze sprawy?

- To prawda, nie obiecywałeś, że przyjdiesz w damskim towarzystwie - odezwał się Seth, uśmiechając się w sposób, który zawsze niepokoił Reeda, zapowiadał bowiem kłopoty. - Znając ciebie - ciągnął pan domu - byłem pewien, że zjawisz się sam, dlatego pozwoliłem sobie zaprosić pewną damę, która, jak sądzę, zechce dotrzymać ci towarzystwa,

Reedowi, mimo ogarniającej go wściekłości, nie pozostało nic innego, jak tylko cierpieć w milczeniu. Co go podkusiło, by tu przychodzić? No i ta biedna kobieta, której Seth wyznaczył rolę jego pocieszycielki. Gorzej nie mogła trafić, pomyślał Atchison.

Chyba że Seth zaprosił...

Jakby na zawołanie, zadźwięczał dzwonek u frontowych drzwi. Twarz Seta opromienił szeroki uśmiech.

- Jestem gotów przysiąc, że to właśnie dama, o której mówimy...

Obaj przeszli z tarasu do salonu. Reed cofnął się o krok, a Seth sięgnął do klamki, odsuwając się na bok.

Widząc tajemniczą minę przyjaciela, Reed nabrał pewności, że Seth zrobił mu kawał i zaprosił Mindy, gdy jednak ujrzał spontaniczną reakcję przyjaciela na widok gościa, uznał, że się pomylił.

Seth Mahoney był niezwykle wprost wielbicielem i znawcą kobiet, a wszystkie wolne od pracy chwile poświęcał na odkrywanie wciąż pełnej tajemnic istoty kobiecości. Uważał bowiem, że nie ma niewiast brzydkich i nieatrakcyjnych, trzeba tylko umieć właściwie na nie patrzeć. Dlatego żadna istota płci żeńskiej nie mogła czuć się w jego obecności bezpieczna, ponieważ każda z nich stawała się obiektem jego pożądania i każdą z nich próbował uwieść - co często mu się udawało. Seth kochał po prostu wszystkie kobiety, bez względu na rasę, barwę skóry, wyznanie czy pochodzenie. Był jak ogarnięty manią odkrywczą naukowiec, w gorączkowym pośpiechu gromadzący najwspanialsze okazy do swojej kolekcji.

Tak więc wniebowzięty wyraz, jaki ukazał się na twarzy Setha na widok nowo przybyłej kobiety, dowodził, iż oto objawiła się prawdziwa bogini piękności, dama wytworna i wyrafinowana, o kuszących kształtach i niepowtarzalnej, niebiańskiej urodzie. Kobieta, która...

- Mindy?

Tak, to była Mindy Harmon. Weszła do środka, rozglądając się wokół, nieco spłoszona i niepewna siebie.

Dopiero po chwili Reed uprzytomnił sobie, że głośno wypowiedział jej imię.

Spojrzała w jego kierunku i oblała się rumieńcem. Jej policzki stały się tylko o ton jaśniejsze od sukni, którą miała na sobie. Z przodu głęboko wycięta, o barwie płatków róży i równie aksamitna jak one, powoli ukazywała się oczom

Reeda, w miarę jak pan domu czułym gestem zdejmował palto z ramion dziewczyny.

Reed postanowił zignorować ukłucie zazdrości, które wywołało w nim postępowanie przyjaciela.

Mindy wyglądała olśniewająco.

Głęboki dekolt odkrywał znaczną część obfitych, ponętnych piersi, poniżej których miękki materiał sukni opadał do kolan luźną kaskadą. Zgrabne nogi pokrywały cieniutkie, czarne pończoszki. Całości dopełniały czarne czółenka na płaskich obcasach, przyozdobione jedwabnymi różyczkami.

Na czubku głowy Mindy przewiązała włosy aksamitką. Opadające, długie, wijące się loki przybrała drobniutkimi, satynowymi różyczkami w takim samym odcieniu jak suknia i identycznym jak szminka na ustach dziewczyny.

Usta.

Reed nie mógł oderwać od nich wzroku. Dopiero teraz uprzytomnił sobie, jak bardzo są ponętne. Pełne i pięknie wykrojone - słowem: niezwykle kuszące. A kiedy Mindy odrobinę rozchyliła wargi, natychmiast stracił oddech, a serce zaczęło mu walić jak młotem.

- Cześć - przywitała go niemal szeptem i niepewnie się uśmiechnęła.

Reed milczał.

- A to spotkanie - dodała lekko kpiącym głosem.

- Hm... - mruknął. Głos ledwie przechodził mu przez gardło. Nie wiedział, co powiedzieć. W głowie miał kompletną pustkę.

Obserwując zmagania Reeda z samym sobą, stojący obok Seth roześmiał się wesoło.

- Mindy, popatrz, co narobiłaś. Na twój widok Reed zupełnie stracił mowę. Moje gratulacje! Wiedziałem, że to dobry pomysł, by zaprosić cię na to przyjęcie. - Nagle w rękę

Setha jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki pojawiła się jemiola. Uniósł gałązkę nad głowę Mindy, a potem pochylił się i pocałował dziewczynę w policzek.

- Szczęśliwych i wesołych świąt, słoneczko. Cieszę się, że przyszedłeś.

Reed przyglądał się wyczynom Setha i miał ochotę uśmiercić go gołymi rękoma. Ponieważ jednak nagła śmierć doktora Mahoneya bez wątpienia zepsułaby radosny nastrój wielu osobom, a już na pewno Bogu ducha winnym rodzicom denata, Atchison odłożył na później realizację swoich zbrodniczych zamiarów.

- Oddaj! - warknął, wyrwał Sethowi jemiolę i na wszelki wypadek wsadził ją sobie do kieszeni. - W twoich rękach może okazać się śmiercionośnym narzędziem. Nic dziwnego, że w New Jersey, w Pensylwanii i w stanie Delaware zabroniono jej zrywania. Zakaz obejmuje zapewne całe Wschodnie Wybrzeże i stany nad środkowym Atlantykiem - dodał.

Uśmiech na twarzy Setha uzmysłowił Reedowi, że przyjaciel świetnie się bawi. Tak jakby wiedział, co spowodowało tak gwałtowną reakcję Atchisona. Do diabła, przecież było jasne, że Reedowi nie chodzi o bezpieczeństwo wszystkich kobiet na wschód od Missisipi.

- Mindy, czekaliśmy już tylko na ciebie - powiedział Seth.
- Zapowiada się interesujący wieczór.

Mahoney ruszył w stronę grupy gości zebranych po drugiej stronie salonu, dzięki czemu Reed i Mindy zostali sami przy wejściu.

- Wyglądasz... kapitalnie. - Tyle tylko zdołał wydusić z siebie Atchison.

Mindy uśmiechnęła się i znów oblał ją rumieniec. Po chwili powiedziała:

- Ty też wyglądasz świetnie. Żadne ekskluzywne szkoły ani studia, jakie miał za sobą, nie pomogły Reedowi w prowadzeniu konwersacji. Stał jak wryty, wpatrując się bez słowa w Mindy. Zapadła krepująca cisza.

- To miło ze strony Seta, że mnie zaprosił - powiedziała wreszcie dziewczyna. - Wcale nie musiał. Zupełnie się tego nie spodziewałam.

Do Reeda, który nadal stał jak ogłuszony, docierały zaledwie niektóre słowa. Mindy była taka piękna, ale nie tylko, było w niej bowiem coś... Pragnął tylko jednego: znów ją pocałować.

- No cóż, ale to nie Seth, lecz ty miałeś wyświadczyć mi przysługę - zakończyła tę dość jednostronną konwersację Mindy.

Oprzytomniał. Co on, do cholery, wyrabia? Przegrał zakład, więc powinien bezinteresownie pomóc tej kobiecie, a nie podniecać się niezdrowo jej widokiem.

- Seth uwielbia życie towarzyskie, tak naprawdę nie potrafi żyć bez przyjęć i tłumu gości. A szczególnie bez kobiet - odezwał się wreszcie, kiepsko imitując lekki ton.

Mindy, uśmiechnęła się, zadowolona, że Reed odzyskał mowę.

- Jest bardzo sympatyczny, prawda? Można by o tym długo dyskutować, lecz Reed nie miał najmniejszej ochoty snuć rozważań na temat niewątpliwych zalet Seta Mahoneya, dlatego bez słowa wziął Mindy za łokieć i pociągnął w stronę sali.

- Wmieszamy się w tłum? - zapytał.

- Świetny pomysł - odparła. - Prowadź. Do tej pory Mindy była przekonana, że wyrażenie „wmieszać się w tłum” oznacza przechadzanie się po sali od jednej osoby do drugiej, teraz jednak musiała zrewidować swe poglądy. Przez całe

przyjęcie, jak Ziemia wokół Słońca, krążyła dookoła Reeda... a może to on krążył wokół niej? W każdym razie byli wciąż razem aż do kolacji, jak również przy stole, gdyż Seth przydzielił im sąsiednie miejsca.

Początkowo Mindy sądziła, że siedząc tak blisko Reeda, będzie czuła się skrepowana. Szybko jednak uznała, że ma to ogromną zaletę, mogła bowiem bez przerwy na niego zerkać. W wytwornym, ciemnym garniturze wyglądał niezwykle pociągająco.

Jej dzisiejsza fascynacja doktorem Atchisonem wynikała zapewne z tego, że Mindy nigdy przedtem nie była na przyjęciu w towarzystwie tak przystojnego i eleganckiego mężczyzny. Sam Harmon był robotnikiem, podobnie zresztą jak większość jej kolegów, z którymi jako młoda dziewczyna umawiała się na randki. Obowiązywały tam zupełnie inne maniery i stroje.

Teraz Mindy uznała, że mężczyźni w dobrze skrojonych garniturach wyglądają niezwykle pociągająco.

Zwłaszcza doktor Atchison.

Na jego barczystych ramionach ciemna marynarka leżała jak ulał, a nawet dość szerokie spodnie nie były w stanie ukryć zgrabnych nóg. Spod kołnierzyka śnieżnobiałej koszuli zwisał starannie zawiązany krawat barwy dojrzałego zimowego jabłka.

Najbardziej jednak zaimponowało Mindy to, że Reed czuł się w tym przecież dość oficjalnym stroju zupełnie naturalnie i swobodnie. Zrobiło to na niej ogromne wrażenie.

W ostatnim tygodniu Mindy bardzo tęskniła za Reedem. To prawda, że jego mieszkanie było wygodne, lecz bez właściciela wydawało się dziwnie opustoszałe. Gdzie tylko zatrzymywała wzrok, widziała przedmioty należące do Reeda, tym boleśniej więc odczuwała brak jego towarzystwa.

Jak na mężczyznę, który zarzekał się, że nie potrafi gotować, miał nowoczesnie urządzonej kuchnię, świetnie wyposażoną w wiele sprzętów i naczyń, których nie powstydziliby się nawet zawodowy kucharz. Mimo że Reed chyba często nosił garnitury, szafy były pełne zniszczonych dżinsów i swetrów, co świadczyło o tym, że wolał je od oficjalnych strojów. Zestaw płyt kompaktowych był niewielki, a nieliczne półki wypełniały głównie książki medyczne.

Było to drugie mieszkanie Reeda, uzmysłowiła sobie Mindy, a większość jego osobistych przedmiotów oraz biblioteka znajdowały się w rezydencji w Ardmore. Tak więc na podstawie apartamentu przy Cherry Hill trudno było powiedzieć coś więcej o jego właścicielu. Mindy zdawała sobie z tego sprawę, ale i tak poznała Reeda już całkiem nieźle.

Tych kilka wieczorów, spędzonych wspólnie w jej dawnym mieszkaniu, wydawało się pięknym snem. Dopiero teraz uprzytomniła sobie, jak ważne były dla niej tamte chwile. Nie zdawała sobie sprawy ze swojej samotności, dopóki nie poznała Reeda. Ale kontakty z nim były stanowczo zbyt rzadkie. Bardzo zależało jej na tym, aby znów zaczęli się spotykać, nie wiedziała jednak, jak do tego doprowadzić.

Nie, nie chciała wiązać się z nim na stałe, jednak byłoby cudownie, gdyby odwiedził ją od czasu do czasu. Czyżby pragnęła zbyt wiele? Chyba nie.

Kiedy sięgnęła po szklanek wody, niechcący stuknęli się łokciami. Reed spojrzał na Mindy i wymamrotał przeprosiny. Gdy to czynił, ona uświadomiła sobie, że jeśli nie będzie miała się na baczności, zakocha się w tym mężczyźnie.

Prawdę mówiąc, była na najlepszej drodze, by do tego doszło. Wyczuwała w Reedzie bratnią duszę i była pewna, że łączy ich coś więcej niż zwykła przyjaźń.

No cóż, stało się i nic tego już nie zmieni. Tak wspaniale czuła się w towarzystwie Reeda - bezpiecznie i swobodnie. Przy nim cały świat wydawał się lepszy.

Reed ofiarowywał radość i spokój, a tego w jej życiu zawsze brakowało, a poza tym doktor Atchison okazał się człowiekiem o wielkim sercu, co samo w sobie stanowiło ogromną rzadkość.

Mimo że zawsze starała się w bliźnich dostrzec dobro, nie była aż tak naiwna, by wierzyć, że wszyscy są wspaniali. Na świecie było mnóstwo egoistów i ludzi z gruntu złych, jak również wiele osób zgorzkniałych, ogarniętych pesymizmem.

W ogromnym, niesłychanie różnorodnym zbiorowisku pojawiali się również ludzie dobrzy i na nich Mindy starała się wzorować oraz ich miarą mierzyć innych. Niestety, było ich tak niewiele...

Dobrym człowiekiem był Reed Atchison, mimo że wygłaszał różne dziwne poglądy. Twierdził, że dobro bliźnich go nie interesuje, że świat pełen jest nikczemników, a okres Bożego Narodzenia wyzwala w ludziach to, co najgorsze.

Dlaczego tak uważał?

Mindy w żaden sposób nie potrafiła sobie tego wyjaśnić.

Gdyby Reed był człowiekiem złym i obojętnym na ludzką niedolę, po przegranej zakładzie zaofiarowałby Mindy pomoc, bo musiałby tak postąpić, lecz z ulgą przyjąłby odmowę dziewczyny i pozostawiłby ją swemu losowi. Lecz on zrobił wszystko, by Mindy i jej nie narodzone dziecko nie zaznali głodu ani poniewierki.

A na koniec pocałował ją tak czule i serdecznie...

Im dłużej Mindy myślała o Reedzie, a od tygodnia robiła to niemal bez przerwy, tym bardziej ją intrygował. Koniecznie chciała dowiedzieć się, dlaczego zawsze jest taki ponury i pesymistycznie nastawiony do całego świata, dlaczego przed wszystkimi ukrywa swoje serce - tak szlachetne i czułe.

Być może ktoś powinien wypolerować to serce, by wreszcie zaśniło pełnym blaskiem niczym najwspanialsza choinkowa bombka.

- Widzę, że grzecznie wszystko zjadłaś - powiedział, spoglądając na jej talerz.

- Było bardzo smaczne - odpowiedziała z uśmiechem.

- A ty byłaś bardzo, ale to bardzo głodna.

Odchyliła się w krześle, z zadowoleniem głęboko odetchnęła i położyła rozpostarte dłonie na wypukłym brzuchu.

- Nie tylko ja. Na twarzy Reeda pojawił się wyraz tęsknej zadumy.

- Dziecko już się rusza? - zapytał nagle. Zaskoczyło ją to pytanie, ale uznała, że nie było dziwne.

- Tak, czasami. Uczucie jest takie...

- Jakie? - spytał z uśmiechem.

- Niesamowite i miłe. Jak dotknięcie motyli skrzydeł lub drobniutkich paluszków. I za każdym razem łaskocze.

Reed powoli pokręcił głową. Skupił wzrok na dłoniach Mindy, nadal spoczywających na jej brzuchu.

- Trudno mi to sobie wyobrazić - powiedział. - Powstawanie nowego życia uważam za coś zdumiewającego, za prawdziwy cud.

- Czy to medyczna ocena? - Mindy roześmiała się wesoło.

- Tak - potwierdził po krótkim namyśle. - Mimo że jako lekarz jestem zwolennikiem nauk ścisłych.

Spoważniał, kiedy spotkały się ich spojrzenia. Wyciągnął rękę w stronę Mindy i wciąż uważnie przyglądał się dziewczynie.

- Będiesz miała dziecko - oświadczył z powagą.

- Już o tym W i e m - odparła ze śmiechem.

- Chodzi mi o to, że dasz początek nowemu istnieniu.

Niebawem urodzisz maleńką istotkę.

Mindy poczuła ucisk w gardle. Nie odrywała wzroku od twarzy Reeda, mimo że nie było to chyba najrozsądniejsze posunięcie. Milczała.

Mówił dalej:

- Jesteś odpowiedzialna za sprowadzenie dziecka na świat, a mężczyzna może tylko czekać.

- Potem jest tak samo ważny jak matka - zauważyła Mindy. - Przecież jest współodpowiedzialny za wychowanie maleństwa.

- To nieprawda - gwałtownie zaprotestował Reed.

- Czemu tak twierdzisz? - spytała zdziwiona.

- Pod tym względem mężczyźni nie dorównują kobietom.

- Niektórzy - przyznała. - Wszystko zależy od tego, czy człowiek potrafi kochać i troszczyć się o innych.

- W twoich ustach brzmi to bardzo prosto.

- Bo to jest proste,

- Mówisz tak, bo się nie boisz.

- Och, nie masz pojęcia, jakie czasami ogarnia mnie przerażenie. Boję się, iż stanie się coś złego, że dziecko będzie chore, że je skrzywdzę, okażę się okropną matką i nie będę potrafiła...

- Nie o to mi chodzi - łagodnie przerwał jej Reed. - Miałem na myśli to, że nie boisz się kochać.

Nie miała pojęcia, co powiedzieć, by Reed nie zrozumiał jej opacznie, uznała jednak, że nie ma sensu ukrywać przed nim własnych uczuć. Niech myśli sobie, co chce.

Zdjęła rękę z brzucha i położyła ją na dłoni Reeda.

- Byłbyś świetnym ojcem - oświadczyła z przekonaniem i zachęcającym uśmiechem. - Każde dziecko byłoby szczęśliwe, mogąc nazywać cię tatusiem.

Reed zeszytniał, poszarzał na twarzy i w jednej chwili stał się obcy i niedostępny. Miał taką minę, jakby Mindy powiedziała coś naprawdę strasznego.

W pierwszej chwili pomyślała, że źle ją zrozumiał, czyli że uznał jej słowa za propozycję, by został ojcem jej dziecka, lecz jej przecież nie o to chodziło. Miała nadzieję poznać kiedyś mężczyznę, który pokocha ją wraz z małenstwem, wiedziała jednak, że tym człowiekiem na pewno nie będzie doktor Reed Atchison.

Co prawda marzyła o tym, lecz to zupełnie inna sprawa.

Okazało się jednak, że Reed właściwie zrozumiał Mindy.

- Mówisz tak, bo mnie nie znasz - oznajmił. - Byłbym okropnym ojcem.

Z powątpiewaniem pokręciła głową.

- Powiedziałam tak, bo chyba znam cię lepiej niż ty sam.

Mindy spostrzegła, że Reed jest zdenerwowany i głęboko poruszony jej słowami.

- Przecież jestem dla ciebie prawie obcym człowiekiem - oświadczył bezbarwnym głosem.

Z opuszczoną głową pogłaskała go po dłoni.

- Dwa tygodnie wystarczą, żeby wiedzieć.

- Co? - zapytał. Podniosła wzrok i nagle ze zdumieniem zobaczyła na twarzy Reeda szeroki uśmiech. Poczowała, że wstąpiła na grząski grunt. Postanowiła zmienić temat.

- Byłam grzeczna i wszystko zjadłam - pochwaliła się. - Co dostanę na deser?

Usłyszała wesoły śmiech Seta.

- Masz ochotę na sernik z czekoladą? - zapytał.

- Tak! Wielką ochotę! A co wy będziecie jeść? Miała dziś wilczy apetyt. Od kiedy Reed zaczął się nią zajmować, jadła coraz więcej. W ciągu ostatnich dwóch tygodni przytyła trzy i pół kilograma. Podjadała to, co miała w lodówce, a ponadto mniej denerwowała się niepewną przyszłością.

Zdawała sobie sprawę, że nie powinna przyzwyczajać się do Reeda i jego stałej pomocy. Nie chciała się od niego uzależniać. Doskonale wiedziała, że on interesuje się jej osobą

nie tylko dlatego, że znalazła się w trudnej sytuacji. Między nimi istniał pociąg fizyczny.

Oczywiście Mindy nie podawała w wątpliwość bezinteresowności Reeda. Był człowiekiem samotnym, być może nigdy dotąd nie poznał osoby, o którą mógłby się troszczyć.

No i zbliżało się Boże Narodzenie.

Tak czy inaczej, zyskiwali na tym oboje.

Na razie.

Mindy wiedziała, że obecna sytuacja nie będzie trwała wiecznie, powinna więc cieszyć się każdą chwilą i nie liczyć na więcej. Ale jak długo? Odpowiedź nasuwała się sama. Dopóty, dopóki zbyt mocno nie zaangażuje się uczuciowo i nie pozwoli, by sprawy zaszły za daleko.

Powzięła decyzję. W kontaktach z Reedem nigdy nie przekroczy granicy przyjaźni, a tuż po świętach poszuka sobie nowego mieszkania.

Jest silna i podoła temu zadaniu. Musi tylko mocno wziąć się w garść.

Pokiwała smutno głową. No cóż, od tej pory musi pamiętać, że trzymanie się z dala od pana doktora Reeda Atchisona będzie jej zasadą numer jeden.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Było już dobrze po północy, gdy Reed odprowadził Mindy pod drzwi apartamentu.

No cóż, doktor Atchison tego wieczoru pogwałcił sporo zasad, które sam sobie narzucił, lecz czyż zasady nie są po to, by czasami je łamać? Życia nie da się ująć w sztywne ramy, zdarzają się bowiem chwile, gdy rzeczywistość wymyka się z okowów konwenansu.

Sumienia nie da się jednak oszukać nawet najbardziej sprytnymi argumentami. Reed głęboko westchnął i przystąpił do wyliczania popełnionych przewinień.

Po pierwsze, przekroczył nakazaną sobie normę: jeden kieliszek wina do kolacji. A jednak, wpatrzony w przepastne, zielone oczy Mindy i spijający każde słowo z jej ust... nim się spostrzegł, a już wypijał trzeci kieliszek. Wtedy dopiero się opamiętał. Co prawda posiłek był obfity, ale to marne usprawiedliwienie, wszak można było poprzestać na wodzie mineralnej. Trzeba jednak przyznać, że po trzeciej kolejce Atchison nie tknął już alkoholu, mimo że miał na to wielką ochotę.

Po drugie - przebieg rozmowy z Mindy. Tu też nastąpiła katastrofa. Reed przyrzekł sobie, że z tą dziewczyną będzie zawsze prowadził jedynie lekką, niezobowiązującą konwersację. Niestety, prawie natychmiast podjęli bardzo poważne, a co gorsza osobiste, wręcz intymne tematy, rozważali bowiem kwestię uczuć. Na domiar złego pod sam koniec Mindy posunęła się aż tak daleko, że oświadczyła mu, iż byłby dobrym ojcem. On, Reed Atchison!

To stwierdzenie było zupełnie pozbawione sensu, z gruntu fałszywe. Zresztą, był to jeden z tematów tabu, których Reed zawsze unikał jak ognia. A oto prawie obca kobieta, i do tego ciężarna, usiłowała mu wmówić, że świetnie nadawałby się na ojca. Był tym bardzo zdegustowany.

Z tą sprawą łączyła się trzecia złamana przez niego wczoraj zasada - mianowicie nigdy nie rozmawiał o swojej rodzinie. Wprawdzie z Mindy ledwie poruszyli ten temat, ale i tak było to zupełnie niepotrzebne.

Rodzice Reeda byli ludźmi zimnymi i nie okazywali uczuć nawet najbliższym. Dotyczyło to również ich własnego syna. W głębi serca Reed bolał nad tym, ale nigdy przed nikim się nie użalał, a już na pewno nie poruszał tego tematu w rozmowach z innymi ludźmi. Lecz teraz złamał tę zasadę, i to w obecności niemal obcej kobiety.

Na sam koniec Reed zajął się sprawą najważniejszą. Chodziło o jego stosunek do pani Harmon. Była miłą, młodą, ciężarną wdową, której należało pomóc - i nic poza tym.

Niestety, złamał także i tę zasadę. Wystarczy powiedzieć tylko jedno: gdy Seth na powitanie pocałował Mindy, Reeda ogarnęła wściekła zazdrość.

Nie dość tego, bo gdy przed chwilą zsunęła z ramion płaszcz, widok jej pełnych piersi w głęboko wyciętym dekolcie sprawił, że Reed z wrażenia aż zamknął oczy.

Gdy je otworzył, z rozkoszą dostępną tylko prawdziwym estetom zaczął podziwiać niezwykle piękno i elegancję sukni, w którą ubrana była Mindy. I znów szybko zamknął oczy.

Ogarnięty paniką chciał wziąć nogi za pas, lecz wbrew instynktowi samozachowawczemu, wiedziony jakąś nieodgadnioną siłą, nadal tkwił w przedpokoju.

A wtedy Mindy spojrzała mu w oczy i Reed wiedział już, co warte są wszystkie jego zasady.

- Zaraz zaparzę kawę - powiedziała dziewczyna. - Może być bezkofeinowa?

- Świetnie - odparł Reed, w duchu znów szykujący się do panicznej ucieczki.

- Upiekłam trochę świątecznych ciastek. Okazało się, że „trochę” oznacza sześć pudełek łakoci.

- Jak widzę, w tym tygodniu pracowałaś jak pszczołka - oświadczył, kiedy Mindy otworzyła jedno z pudełek.

- Miałam ostatnio sporo wolnego czasu - przyznała.

- Dzięki tobie w tym miesiącu nie muszę płacić czynszu za mieszkanie, a poza tym otrzymałam zwrot kaucji, tak że „U Evie” mogę pracować krócej. Mimo że za tydzień Boże Narodzenie i w restauracji mamy duży ruch, szefowa nalega, abym się nie przemęczała i brała mniej zmian. Coś mi się wydaje, że w tym też maczałeś palce...

- Ja? Skądże! - skłamał gładko Reed. Tak naprawdę poprosił Evie, by Mindy pracowała jak

najmniej. Poczciwa kobieta obiecała mu to z przyjemnością. Sama była zdania, że Mindy pracuje zbyt ciężko jak na swój stan, lecz nie miała serca odbierać jej zarobków, wiedziała bowiem, że dla tej dziewczyny ważny jest każdy grosz. Teraz jednak, domyślając się, że Atchison w jakiś sposób pomaga kelnerce, chętnie spełniła jego prośbę.

Mindy rzuciła Reedowi karcące spojrzenie, dając do zrozumienia, że mu nie wierzy, lecz na koniec tylko machnęła ręką.

- Zbliża się Boże Narodzenie - powiedziała - a ja chcę mieć trochę radości w te święta. Lubię piec ciasta, lecz ostatnio nie miałam ku temu okazji.

Po prostu nie miałaś na to pieniędzy, pomyślał Reed, a Mindy natychmiast wyczytała to w jego oczach i lekko wzruszyła ramionami.

- Dzięki tobie zaoszczędziłam kwotę równą miesięcznemu czynszowi. Nie widzę powodu, dla którego nie miałabym trochę poszaleć.

Poszaleć? zdziwił się Reed. Ile może kosztować mąka, cukier, masło, garść bakalii?

- Trochę ciastek zaniosę do pracy - dodała na swoją obronę. - Pomyślałam też, że weźmiesz do szpitala jedno pudełko, aby poczęstować przyjaciół.

Przyjaciół? A ilu ja ich mam? pomyślał. Jednak propozycja Mindy sprawiła mu niekłamaną radość.

- Dziękuję, część ciastek zostawię pielęgniarce w dyżurce. - Zamierzał jeszcze coś dodać, lecz gdy Mindy uniosła wieko największego pudełka, natychmiast zapomniał, co chciał powiedzieć. - Och! Te uwielbiam! - wykrzyknął z zachwytem na widok czekoladowo - owsiankowo - orzeszkowych kruchych ciastek, nie wymagających pieczenia. - Nasza gosposia, pani Cartwright, zawsze robiła je na Boże Narodzenie. Od lat ich nie jadłem. Są przepyszne.

Mindy roześmiała się. Wyjęła z pudełka trzy największe ciastka, położyła je na talerzyku i podała Reedowi. Pierwsze pochłonął w mgnieniu oka, dwoma pozostałymi delectował się, smakując je powoli i z wyraźną rozkoszą.

- Hej, zostaw sobie trochę miejsca na resztę.

- Jaką resztę?

- Na kruche, lodowe...

- Mindy - przerwał jej Reed po zjedzeniu trzeciego ciastka - nie wolno ci się tak przepracowywać. Miałem nadzieję, że w domu trochę odpoczniesz. Dlatego Evie skróciła ci zmiany.

- A więc zgadłam. To był twój pomysł. - Mindy powiedziała to łagodnym tonem, bez cienia urazy.

- Przyznaję się do winy - oświadczył. - Ale musisz więcej odpoczywać. Chodzi o zdrowie twoje i dziecka.

- Czy to wskazania lekarskie? Reed pokręcił głową.

- Nie, to rada przyjaciela, który się o ciebie troszczy.

Mindy ze zrozumieniem pokiwała głową. Reed dostrzegł, że posmutniała. Zanim zdołał odgadnąć przyczynę zmiany jej nastroju, głęboko westchnęła i smętnie opuściła głowę.

- Sporo odpoczywam - stwierdziła. - Tylko czasami, nie wiem dlaczego, staję się niespokojna i muszę czymś się zająć. Czuję się dziwnie, co roku przed Bożym Narodzeniem robiłam mnóstwo rzeczy, a teraz... Widuję wprawdzie ludzi na ulicach i w restauracji, ale to zupełnie co innego...

Zawiesiła głos, a Reed zapytał:

- Co masz na myśli?

Ponownie westchnęła.

- Boże Narodzenie to rodzinne święto, a ja po raz pierwszy w życiu będę spędzać je sama. Dlatego czuję się nieswojo.

Przez chwilę Reed w milczeniu przyglądał się Mindy.

- Naprawdę nie masz nikogo? - zapytał.

- Ojca nie znałam, a matka zmarła przed laty. Miała siostrę, ale ciocia Margaret jeszcze przed moim urodzeniem przeprowadziła się na Zachodnie Wybrzeże i nigdy jej nie poznałam. Z teściami byłam zawsze w złych stosunkach, a po tym, jak Sam... - Mindy spojrzała na ciastko, które trzymała w ręku. Gniotła je tak nerwowo, że pozostały same okruszki. - Gdy Sam zginął, jego rodzice zachowali się wrogo, obwiniając mnie o jego śmierć.

- Niemożliwe! - Reed był naprawdę przejęty. - Przecież mówiłaś, że po pijanemu prowadził samochód i wpadł na drzewo. Dlaczego mieli pretensję do ciebie?

Mindy odwróciła wzrok.

- Rodzice Sama oświadczyli, że gdybym nie zaszła w ciążę, ich syn nie zacząłby znów pić. Dali wyraźnie do zrozumienia, że nigdy więcej nie chcą oglądać ani mnie, ani dziecka.

- To okropnie - stwierdził Reed z gniewem. - Jak ci ludzie mieli czelność...

- Możemy zmienić temat? - przerwała mu Mindy, wysypując na serwetkę okruszyny pozostałe z ciastka. - To

minęło, a teraz liczy się tylko przyszłość moja i dziecka. Szkoda, że będziemy tylko we dwoje, bo dzieci chowają się lepiej w większych rodzinach.

Mindy zależy na tym, czego sama nie miała, pomyślał Reed. Powinien wcześniej to zrozumieć, a także przewidzieć, że poczuje się samotna. Nawet nie przyszło mu do głowy, że tak deprymująco podziela na nią zbliżające się Boże Narodzenie.

Sam nigdy nie doświadczał podobnych uczuć. Był późnym dzieckiem i stracił rodziców, mając dwadzieścia kilka lat. Od tamtej pory, a więc przez dziesięć lat, samotnie spędzał Gwiazdkę i w jakiś sposób przyzwyczyił się do tego.

Przyzwyczyił? Do samotności nie można przywyknąć, choć gdy nie ma innego wyjścia, trzeba z nią żyć. Ale przede wszystkim nie wolno uważać się nad sobą. Ludziom układa się różnie, jemu ułożyło się właśnie tak i trzeba się z tym pogodzić.

Byłem i będę samotny, uznał Reed.

Tym razem jednak podczas Bożego Narodzenia nie musiał zamykać się w czterech ścianach. Była przecież Mindy. Może oboje mogliby...

Nie, nie mogliby. Natychmiast sprowadził swoje myśli na właściwie tory. Nie posłuży się tą kobietą, aby osłodzić sobie smutne, świąteczne dni. Byłoby to nie w porządku.

- Samotne Boże Narodzenie nie jest wcale takie złe - powiedział. - Z czasem człowiek do tego przywyka. Zaczyna cenić spokój i ciszę, uczy się wypełniać czas różnymi zajęciami. - Ale to i tak nie pomaga zwalczyć wewnętrznej pustki, dodał w myśli. Człowiek nigdy się jej nie pozbywa. Ale fakt, że wokół kręcą się krewni, niczego tu nie zmienia.

- Zabrzmiało to tak, jakbyś mówił na podstawie własnego doświadczenia - zauważyła Mindy.

- Być może. - Reed wzruszył ramionami.

- Nie spędzasz świąt z rodziną? Wiem, że byłeś jedynakiem, ale chyba masz jakieś ciotki, stryjów, przyrodnie rodzeństwo?

Pokręcił głową.

- Gdy moi rodzice umarli, urwały się wszelkie rodzinne kontakty. Zresztą większość mych krewnych mieszka daleko stąd.

Mindy pochyliła się i oparła łokcie na kuchennym blacie, mimo woli uwydatniając kragłe piersi. Reed z trudem odwrócił wzrok i wlepił oczy w szerokie drzwi prowadzące na ciemny balkon. Jak się miał przed tym bronić? Znowu poczuł przypływ pożądania, a serce waliło mu jak młotem.

- Przykro mi z powodu twych rodziców - łagodnym tonem odezwała się Mindy.

Reedowi też było przykro, ale z zupełnie innej przyczyny. Nie dlatego, że już nie żyli, lecz dlatego że nie okazali się rodzicami, jakich zawsze pragnął mieć i jakich jako dziecko potrzebował.

- Jeśli nie masz innych planów, przyjdź do mnie na Wigilię, będziesz mile widziany. Jest to zresztą twoje mieszkanie, a mnie się przyda towarzystwo.

Jeśli chodzi o same słowa, Mindy wypowiadała je całkiem zwyczajnie, a jednak Reedowi wydawało się, że robi to w wielkim napięciu. Jej głos drżał z niepewności, tak jakby obawiała się usłyszeć odpowiedź.

Przyjadę! Będę z tobą! Możesz na mnie liczyć! miał ochotę wykrzyknąć. Wiedział jednak, że zabrzmiałoby to idiotycznie, a na domiar złego nie byłoby prawdą. Sam zgłosił się na wigilijny dyżur w szpitalu, aby pozostali koledzy spędzili święta w rodzinnym gronie.

A poza tym Mindy zapewne wiązała z jego obecnością nadzieje, których nie mógł zrealizować, a na których spełnienie na pewno zasługiwała.

- Dziękuję za zaproszenie - powiedział, ponownie spoglądając w jej stronę i czując bolesny skurcz serca - ale będę pracował. Nie tylko w Wigilię, lecz także w pierwszy dzień świąt. Ponieważ jestem samotny, zgłosiłem się na ochotnika.

- Rozumiem. - Mindy z rezygnacją skinęła głową. - To bardzo miły gest z twojej strony.

Miły gest? zdziwił się Reed. Robił to wyłącznie dla siebie, żeby nie spędzać samotnie świątecznych dni. Absorbująca praca sprawi, że nie będą chodziły mu po głowie żadne smętne myśli. Jednak Mindy nie musiała o tym wiedzieć, więc prawdziwe powody „miłego gestu” postanowił zachować dla siebie.

- Na mnie już czas - oznajmił nieoczekiwanie.

- Chcesz iść? Tak szybko? - spytała z widocznym rozczarowaniem. - Jest jeszcze wcześniej.

- Wcześniej? Mindy, już dawno minęła północ. Dochodzi wpół do trzeciej. Powinnaś odpocząć.

- Jest wcześniej rano. A poza tym jutro, a właściwie dzisiaj, mam wolny dzień. Nie muszę jeszcze iść spać.

Mindy chciała, aby Reed z nią został. Dzisiejszy wieczór był taki wspaniały, chyba najcudowniejszy w jej życiu. Oby trwał jak najdłużej.

Teraz.

Zawsze.

No cóż, dobrze jednak wiedziała, że rozpaczliwe przedłużanie spotkania z Reedem nie ma sensu. To, co przeżyła, zachowa zawsze w pamięci, by móc wracać do tych pięknych wspomnień w szczególnie trudnych chwilach, jakie z pewnością ją czekały.

Mindy była pewna, że dzięki temu przetrwa jakoś nieskończenie długie, bezsenne noce. Ileż bowiem czasu

upłynie, nim pozna kogoś podobnego do Reeda! O ile to w ogóle nastąpi...

Wzięła się w garść.

- W porządku. Pozwól, że przed wyjściem zapakuję ci słodczyce.

Gdy do dużego pudełka wkładała ciastka, czuła na sobie intensywne, niemal palące spojrzenie Reeda.

Czyżby jej pożądał?

Nie, to niemożliwe, skarciła się w duchu. A jednak przez cały wieczór czuła się w obecności Reeda inaczej niż zwykle, tak dziwnie się jej przyglądał... Mindy zrozumiała, że w ciągu ostatnich godzin coś się między nimi zmieniło, że ich znajomość zaczęła się przekształcać w związek o zupełnie innym charakterze.

Ale o jakim?

Musiała się tego dowiedzieć - i to jak najszybciej.

- Gotowe - oświadczyła, zamykając wieko pudełka. - Na kilka dni powinno ci wystarczyć, a potem przygotuję następną porcję. Przecież muszę czymś obdarowywać Świętego Mikołaja.

Podniosła głowę. Reed znów patrzył na nią zachłannym, wygłodniałym wzrokiem, a ona pod tym spojrzeniem topniała jak wosk. Oboje znieruchomieli. Przez dłuższą chwilę wpatrywali się w siebie w całkowitym milczeniu. Serce Mindy biło coraz mocniej, a jej ciało ogarnął ogień, który rozpałił wszystkie jej zmysły.

Pragnęła Reeda Atchisona.

Wszelkie wahania i wątpliwości nagle gdzieś zniknęły i nie miało już znaczenia, jak długo potrwa ich romans: miesiąc, tydzień czy tylko jedną, jedyną noc.

- Reed...? - Głos Mindy przeszedł w gardłowy szept. - Czy coś się stało?

Powoli pokręcił głową.

- Nie, nic. Tylko że...

- O co chodzi? - zapytała zniecierpliwiona.

- Jesteś taka śliczna. Tak bardzo ponęt... Mindy doznała radosnego, wspaniałego olśnienia: Reed pożądał jej tak samo jak ona jego, a może nawet jeszcze bardziej. Przynajmniej na tę noc byli sobie przeznaczeni. Wciąż jednak stała bez ruchu, nie mając odwagi uczynić pierwszego gestu.

Reed zorientował się wreszcie, że jego pełne tęsknego pragnienia spojrzenie podnieciło Mindy. Poczzerwieniał i szybko odwrócił głowę.

- Przepraszam, nie powinienem tego mówić - wymamrotał zakłopotany.

- Powinieneś. Zaskoczyła ją własna śmiałość, ale nie potrafiła się powstrzymać. Widziała, jak Reed szybko się od niej oddala i ucieka do swej skorupy, a ona nie mogła do tego dopuścić. Nie wolno zmarnować tej chwili, może się już bowiem nigdy nie powtórzyć. Jeśli pozwoli, by Reed zatrzaskał teraz za sobą drzwi...

- Powinieneś zawsze mówić to, co myślisz - powiedziała, zaskoczona silnym i stanowczym brzmieniem własnego głosu.

- W przeciwnym razie możesz stracić coś bardzo ważnego, co już nigdy się nie powtórzy.

Przez chwilę zastanawiał się nad jej słowami, a potem spokojnie zapytał:

- Co masz na myśli? Mindy uśmiechnęła się, mimo że było jej ciężko na sercu.

- Och, z góry nie da się tego określić. Po prostu „coś”. Mobilizując resztki odwagi, zaczęła iść w kierunku Reeda. Patrzył na nią w milczeniu, bez śladu jakiegokolwiek emocji na twarzy. Zatrzymała się, zawahała na chwilę, a potem wyciągnęła ku niemu rękę... i wyjęła z kieszeni jego marynarki gałązkę jemioli, którą odebrał Sethowi. A potem, z nieco zaleknionym, lecz zachęcającym uśmiechem wspięła się

na palce i uniosła jemiółę nad głową Reeda. Przymknęła oczy i w desperackim odruchu odwagi pocałowała doktora Atchisona w policzek.

Skórę miał ciepłą i nieco szorstką, pachniał wodą korzenną, tak bardzo... męsko.

Nagle Mindy poczuła, że spada w dół i że nikt nie jest w stanie jej uratować przed bolesnym upadkiem.

Nikt - oprócz Reeda.

Porwał ją w objęcia.

Z jego ust wyrwał się głośny jęk pożądania. Trzymał Mindy delikatnie i czule, jak największy skarb. Wiedział, że postępuje źle - lecz chłodny rozum miał coraz mniej do powiedzenia. Atchison powoli opuścił głowę i dotknął ustami rozchylnych warg dziewczyny.

Ciałem Mindy wstrząsnął dreszcz. Instyktownie wyczuwała, że to, co robią, jest dobre. Reed był dla niej darem losu, którego nie wolno odrzucić. Dotąd otrzymała od życia tak niewiele...

Przywarła do niego całym ciałem i wsunęła palce w jego jedwabiste włosy. Znów jęknął. Całował coraz mocniej, żarliwie obejmując dziewczynę. Zsunął spinę z czubka jej głowy i bujne włosy opadły kaskadą na ramiona. Znów wpił się w jej usta.

Poddała się tej zaborczej pieśczoce i męskim dłoniom starającym się wyzwolić jej piersi ze stanika.

- Och! - krzyknęła. - Och, Reed! Jak dobrze, jak dobrze...

Okrywając pocałunkami szyję i kark Mindy, gorączkowo rozpinał zapięcie na plecach sukienki. Po chwili gorącymi wargami objął naprężoną sutkę, drażniąc ją i ssąc.

Mindy oddychała ciężko i nierówno. Szumiało jej w głowie. Była bliska szaleństwa z powodu narastającego pożądania.

Ledwie zauważyła, że Reed wziął ją na ręce, zaniósł do sypialni i położył na szerokim łóżku. Po chwili marynarka i krawat pofrunęły na podłogę, a Mindy pomogła Reedowi uporać się z resztą garderoby.

Kiedy podniósł się i stanął obok łóżka, nagle poczuła się nieswojo. Wewnętrzny głos ostrzegał ją, że wszystko dzieje się zbyt szybko. Jednak, ignorując rozsądek, otworzyła szeroko ramiona, by przyjąć ukochanego mężczyznę.

Położył się obok, a od jego obnażonego ciała bił niezwykle żar. Po chwili zwarli się w uścisku.

Mindy oblał zimny pot. Za chwilę Reed ujrzy jej powiększony brzuch i uprzytomni sobie, w jakiej znalazł się sytuacji. Wtedy szybko weźmie nogi za pas i na zawsze zniknie.

On jednak delikatnie położył rozpostartą dłoń na łonie Mindy.

- To zdumiewające. - W jego głosie pobrzmiewała zarówno fascynacja, jak i powaga.

- Tak, to prawdziwy cud. - Mindy uśmiechnęła się w najcudowniejszy, najśłodczy sposób.

Delikatnie masując wypukłość, pod którą rosło nowe życie, zapytał z powagą:

- Naprawdę chcesz, abyśmy się kochali?

- Tak, pragnę tego.

- Mimo że nie obiecuję ci niczego? Niemile zaskoczona Mindy, obawiając się, że zawiedzie ją głos, tylko skinęła głową.

- I mimo że może okazać się to wielkim błędem? - bezlitośnie pytał dalej.

Przekonana, że to, co robią, nie jest niczym niewłaściwym, ponownie skinęła głową.

Przez chwilę Reed leżał nieruchomo, w całkowitym milczeniu. Potem zdjął dłoń z brzucha Mindy i przesunął niżej.

Takiej pieśczości Mindy się nie spodziewała. Z wrażenia aż zajęczała. Coraz wyżej i wyżej wznosiła się na fali rozkoszy. Była szczęśliwa jak nigdy dotąd. Wiedziała, że Reeda nie zastąpi żaden inny mężczyzna.

Pieścił ją, aż sięgnęła szczytu. Upłynęło sporo czasu, zanim z obłoków wróciła na ziemię.

- A... a co z tobą? - spytała półprzytomnie. Uśmiechnął się. Był zadowolony, że było jej dobrze.

- Mną się nie przejmuj - wyszeptał jej do ucha. - Zaraz sobie poradzimy.

Po chwili znalazła się w górze, nad Reedem. Pieścili się coraz szybciej i coraz bardziej szaleńczo. Mindy poczuła dłonie zaciskające się kurczowo na jej biodrach.

Parę sekund później Reed obrócił Mindy na plecy i razem poszybowali wysoko nad ziemią.

Ostatnią rzeczą, jaką poczuła, był jego ciepły oddech na piersiach.

A ostatnią rzeczą, jaką usłyszała, było bicie serca Reeda.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

- Co ja zrobiłem? Co ja najlepszego zrobiłem? jęczał w duchu przerażony Reed.

Leżał obok Mindy w ogromnym łożu, którego nigdy nie zamierzał z nikim dzielić, i zastanawiał się, jak doszło do tego, co stało się ostatniej nocy. Na szczęście, Mindy spała głębokim snem, dzięki czemu przynajmniej mógł spokojnie pomyśleć. Leżała na boku, zwrócona w jego stronę. W nikłym świetle świtu przedostającym się przez szpary okiennic widział jej twarz.

Wyglądała nieziemsko pięknie, jeszcze piękniej niż poprzedniego wieczoru. Burza jasnowłosych loków opadała jej na czoło i Reed z trudem zwalczył chęć, by odgarnąć je na bok. Mindy miała różowe, błyszczące policzki, a na wargach delikatny uśmiech. Mógłby tak na nią patrzeć godzinami...

Podczas snu Mindy zsunęła cienką kołdrę aż do pasa. Leżała z jedną ręką złożoną na piersiach. Mimo chłodu panującego w mieszkaniu na kremowej skórze Reed dostrzegł rozpalone, zaczerwienione ślady szalonej nocy. Na ten widok ponownie ogarnęło go fizyczne pożądanie.

Pożądanie! Ostatnia rzecz, jaka była mu teraz potrzebna do szczęścia! Budzik przy łóżku wskazywał szóstą dwadzieścia siedem, a o wpół do ósmej Reed musiał być w szpitalu; nie zdąży więc pojechać do Ardmore, by wziąć prysznic i przebrać się do pracy. Musi zrobić to tutaj, w swoim rzadko używanym apartamencie, który nagle stał mu się bliższy niż siedziba rodowa.

Otrząsnął się z dziwacznych rozważań i nagle uprzytomnił sobie, co go czeka, gdy tylko obudzi się Mindy. Na samą myśl o tym, że będzie musiał spojrzeć jej w twarz, ogarnęło go przerażenie.

Cały problem tkwił w tym, że tak naprawdę Reed nie miał pojęcia, co się właściwie stało. W jednej chwili oświadczył

Mindy, że już wychodzi, a w drugiej - całował jej pełne, gorące wargi. A teraz znów spalało go pożądanie...

Przez całe życie panował nad zmysłami i nigdy nie pakował się w trudne, dwuznaczne sytuacje. A teraz przespał się z dobrą, uczciwą i na dodatek ciężarną kobietą, zasługującą na znacznie więcej, niż był w stanie jej ofiarować.

Dlaczego tak nagle zapragnął tej dziewczyny? Przecież pod sercem nosiła dziecko innego mężczyzny, co z góry powinno go od niej odstręczyć. Stało się jednak inaczej, bowiem wybujała kobiecość M i n d y i jej błogosławiony stan zawładnęły zarówno jego żądzami, jak i dużo głębszymi pokładami psychiki. Na pytanie, dlaczego do tego doszło, Reed nie potrafił znaleźć odpowiedzi.

No dobrze, było, minęło, ale jak teraz powinien się zachować? Jak wytłumaczyć Mindy, że po tak cudownej nocy będzie musiał ją opuścić? Jak wyjaśnić, że to był pierwszy i zarazem ostatni raz?

Oczywiście będzie jej pomagał, jak długo będzie to konieczne. A nawet dłużej, o ile Mindy mu na to pozwoli.

Lecz to, co wydarzyło się tej nocy, już nigdy się nie powtórzy.

Bo... oboje zrujnowaliby sobie życie. Reed nie chciał dodatkowych komplikacji, a Mindy miała już wystarczająco dużo kłopotów na głowie.

Lecz jak jej to wytłumaczyć, skoro sam nie rozumiał tego, co się wydarzyło? Na samą myśl o czekającej go rozmowie aż jęknął. Powinien już iść, by na czas dotrzeć do szpitala, a mówiąc wprost, musiał uciekać, by wszystko spokojnie przemyśleć i zastanowić się, w jaki sposób naprawić sytuację.

A jeśli Mindy za chwilę się obudzi? Powinien już teraz przygotować się do nieprzyjemnej rozmowy.

Wstrzymując oddech, centymetr po centymetrze zaczął wyciągać się z łóżka i po chwili szczęśliwie dotarł do łazienki.

Mindy, nadal spała.

Zamknawszy za sobą drzwi, Reed odetchnął z ulgą i przekręcił klucz w zamku. Miał niewiele czasu, by umyć się i ogolić oraz zastanowić nad wszystkim.

Ani kwadrans, ani nawet dwadzieścia pięć minut nie wystarczyły Reedowi na uporanie się z tym zadaniem. Umyty już i golony, skropiony wodą kolońską oraz ubrany w szlafrok, wciąż nie wiedział, co ma powiedzieć Mindy i jak usprawiedliwić swoje postępowanie.

Wreszcie zrozumiał, co się stało. To był tylko seks, chwila miłego zapomnienia i nic więcej. To się między dorosłymi ludźmi zdarza, a przecież zarówno on, jak i Mindy, od dawna są pełnoletni. Spokojnie wszystko omówią i będzie po sprawie. Przyrzekną tylko sobie, że już nigdy więcej nie powtórzą tego błędu.

Bo to był błąd, ogromny i prawie niewybaczalny, Reed wiedział to z całą pewnością. Przecież do tej pory po nocy spędzonej z kobietą był zawsze odprężony i zadowolony z życia. Rano pił kawę z partnerką, chwilę z nią rozmawiał - i każde wracało do swojego życia. Lecz w tym wypadku sprawy zaszły stanowczo za daleko i należało temu przeciwdziałać, to znaczy wszystko wyjaśnić.

Bo to naprawdę był tylko seks, fizyczne pożądanie i nic więcej, powtórzył w myślach. Przecież to jeszcze nie koniec świata.

Reed głęboko odetchnął i otworzył drzwi łazienki. Spodziewał się zastać Mindy czekającą w łóżku lub w kuchni, z przygotowaną dla niego kawą, bądź też czytającą gazety w salonie.

Nie było jej jednak ani w łóżku, ani w kuchni, ani też w salonie. Nigdzie.

Dlaczego zniknęła bez słowa? I dokąd poszła? Jeszcze pół godziny temu leżała obok niego, więc nie mogła zajść daleko. O co tu chodzi?

Spojrzał na zegar kuchenny. Od samego rana wyznaczono mu operacje, nie miał więc czasu na poszukiwanie Mindy. Miało to tę dobrą stronę, że w ten sposób uniknął nieprzyjemnej rozmowy.

Wiedział, że i tak nie ucieknie przed wyrzutami sumienia. Nie powinni się kochać, nie powinni poznawać swoich ciał ani szeptać sobie czułych słówek. Nie powinni, to prawda. Ale Reed coraz bardziej zdawał sobie sprawę, że mimo tak poważnych zastrzeżeń i samooskarżeń w głębi ducha wcale nie żałuje tego, co się stało.

Czuł się jednak podle. Paniczna myśl, że jego ustabilizowane życie legło w gruzach, napawała go prawdziwym przerażeniem.

Mindy siedziała w barku kawowym, z którego widać było apartament Reeda. Szczelnie otuliła się płaszczem. Piła powoli bezkofeinową kawę i jadła cynamonową bułkę z rodzynkami. Wpatrywała się w drzwi budynku po przeciwnej stronie ulicy. Czekwała, aż Reed opuści apartament, by móc spokojnie wrócić do domu i wziąć prysznic.

Do domu? Mieszkanie Reeda przyzwyczała się uważać za swój dom.

Niestety, tego co się stało, wybaczyć sobie nie mogła.

- Boże, co ze mnie za idiotka! - jęknęła cicho. - Kretynka najwyższej klasy.

Rano obudził ją chyba szum wody w łazience. Przez jedną krótką chwilę czuła się wspaniale. W półśnie rozpamiętywała przeżycia ostatniej nocy. Pieszczoty, czułe słowa, cudowne doznania zjednoczonych ciał i dusz... I przez tę jedną ulotną chwilę świat wydawał się Mindy po prostu piękny.

Gdy jednak rozbudziła się do końca, ogarnęło ją przerażenie. Chciała natychmiast uciec, by nie patrzeć Reedowi w twarz i nie widzieć jego reakcji. Wiedziała, że to czyste tchórzostwo, lecz uczucie, która ją nawiedziło, było czymś tak nowym, że musiała oswoić się z nim w samotności. A poza tym nie chciała, by Reed zorientował się, że jest w nim zakochana, nie była bowiem pewna jego reakcji.

Czy Reed odwzajemnia jej uczucie? Miała co do tego ogromne wątpliwości. Czy istniała choćby najmniejsza szansa, że to, co wydarzyło się ostatniej nocy, było czymś więcej niż seks? A może zbliżyli się do siebie tylko dlatego, że byli samotni?

Oczywiście, Mindy i tak знаła odpowiedzi na te pytania. Pokochała Reeda i tylko dlatego zaczęła go pożądać. Potrzebowała go, już nie wyobrażała sobie życia bez niego.

No tak, ale znali się zaledwie dwa tygodnie, dzieliła ich przepaść społeczna, a ona niedługo miała urodzić dziecko innego mężczyzny.

Czy to możliwe, by mimo to Reed darzył ją uczuciem? Mindy wiedziała, że mu na niej zależy i że coś ich łączy. Ale czy z jego strony była to prawdziwa miłość, czy też jedynie chwilowe zauroczenie?

Reed zbliżał się do czterdziestki i nigdy nie był żonaty, co więcej, z tego co mówił, wynikało, że do tej pory nigdy nie myślał o założeniu rodziny. I nagle miałyby się tak bardzo zmienić? Wziąłby sobie na głowę kobietę z cudzym dzieckiem? Było to mało prawdopodobne. Przecież powtarzała mu wielokrotnie, że nie powinien czuć się za nią odpowiedzialny, bo sama da sobie radę.

W domu po przeciwnej stronie ulicy nagle otworzyły się drzwi. Mindy wstrzymała oddech. W ciemnym garniturze i czarnym, rozpiętym palcie, którego poły rozwiewał lodowaty,

poranny wiatr, Reed Atchison nawet z daleka wyglądał niezwykle atrakcyjnie.

Lekarz w każdym calu! Dba o innych, lecz nie o siebie, pomyślała z bladym uśmiechem. Skręcił na parking i skierował kroki w stronę srebrnego jaguara, który doskonale odzwierciedlał dzielącą ich przepaść, bo Mindy pojedzie do pracy miejskim autobusem.

Odetchnęła dopiero wtedy, gdy Reed zniknął z pola widzenia. Zaraz będzie mogła pójść do domu, wziąć prysznic, pokrzątać się po mieszkaniu. Po południu musi być w pracy. A potem? I co?

Wróci do apartamentu Reeda i...

Nic?

Było to bardzo ważne pytanie i Mindy pragnęła poznać odpowiedź, lecz mógł jej udzielić tylko i wyłącznie Reed. A skąd mogła wiedzieć, jaką decyzję podjął?

- Seth, zapomnij wszystko, o czym ci mówiłem. To nie ma żadnego sensu - ze sztucznym ożywieniem w głosie oznajmił Reed.

Nie miał pojęcia, jak do tego doszło, że podczas późnego lunchu, oczywiście nie „U Evie”, opowiedział przyjacielowi o wydarzeniach ostatniej nocy. Właściwie tylko wspomniał mimochodem, że przespał się z Mindy, jednak na głębsze wyznania nie potrafił się zdobyć.

Seth był jego najlepszym przyjacielem, ale nawet z nim nie umiałby rozmawiać na tak osobiste tematy, tym bardziej że nadal nie rozumiał własnych emocji związanych z Mindy.

Mimo jego powściągliwości Seth wyraził autorytatywnym tonem swoje zdanie, i oczywiście była to najgłupsza opinia, jaką Reed kiedykolwiek usłyszał.

- Dlaczego twierdzisz, że nie ma to żadnego sensu? - spytał Seth. - Ty i Mindy stanowicie doskonałą parę. Uważam,

że powinieneś się z nią ożenić. Dla was obojga byłoby to idealne rozwiązanie.

On, Reed, miałby się z nią ożenić? Jak mógłby zrobić coś takiego? Lubił tę kobietę, ale tak dziwaczny pomysł przekraczał wszelkie granice zdrowego rozsądku.

- Idealne rozwiązanie? - powtórzył z niedowierzaniem słowa Setha. - Raczej idiotyczne.

Mimo że tak powiedział, poczuł nagły przypływ radości.

- Mindy potrzebuje mieszkania i ojca dla dziecka - oświadczył Seth. - A ty potrzebujesz kogoś, kto zrobi z ciebie człowieka. Wspaniale się uzupełniacie. T y , mój drogi, masz dom i pieniądze, a ona złote serce.

Reed skrzywił się. Nie powinien zwierzać się Sethowi, który niczego nie traktował poważnie.

- Znam Mindy zaledwie od dwóch tygodni - skwaszony przypomniał przyjacielowi. - To stanowczo za krótko, żeby dobrze się poznać, a co dopiero zdecydować na małżeństwo. Jesteś śmieszny. - Spojrzał na Setha. - A ty co? Romansowałeś ze wszystkimi kobietami na tej planecie i do tej pory nie znalazłeś nikogo, z kim chciałbyś dzielić resztę życia - wypomniał przyjacielowi.

Seth wzruszył ramionami, ale nie był to bez troski gest, odzwierciedlał bowiem prawdziwą bezradność.

- Nie romansowałem ze wszystkimi kobietami - stwierdził, a Reed odniósł wrażenie, że w życiu Setha istniała ta jedna jedyna, o której przyjaciel myślał, i to często. Niedostępna... - A poza tym lubię przelotne flirty. Ale mówimy nie o mnie, lecz o tobie - przypomniał. - A także o Mindy. I o tym, co zamierzasz dalej zrobić z tym ważnym dla ciebie związkiem.

- To nie jest żaden związek - zaprotestował Reed. - Na tym właśnie polega kłopot.

- Nawet nie próbuj oszukiwać samego siebie - przestrzegł go Seth.

- To nie jest prawdziwy związek - upierał się Reed.

- Jasne, a Arnold Schwarzenegger sypia co noc w różowych koronkowych śpioszkiach - zakpił Seth, natychmiast jednak spoważniał i z rozczarowaniem pokiwał głową. - Nigdy ciebie nie zrozumiem. Znalazłeś niespodziewanie prawdziwy skarb, kobietę, która może uczynić cię szczęśliwym człowiekiem, ale nawet nie kiwniesz palcem, żeby po nią sięgnąć.

- Decyzja nie należy do mnie - oświadczył Reed.

- Uważasz, że do Mindy? - Seth obrzucił przyjaciela uważnym spojrzeniem.

Reed pokręcił głową.

- W jej życiu panuje kompletny chaos, Mindy nie jest w stanie myśleć racjonalnie - stwierdził. - Dopiero co straciła dom i męża, a niedługo zostanie matką. Jej emocje muszą być niezwykle rozchwiane. Myślę, że sama nie wie, czego chce.

- Jesteś tego pewny?

- Oczywiście.

- Pogadaj z nią.

- Sądzisz, że to takie proste?

- W istniejącej sytuacji nie ma nic prostego. Ale pamiętaj, tu chodzi nie tylko o Mindy - z naciskiem powiedział Seth.

- Co masz na myśli?

- Przyszłość dziecka. Jako matka Mindy jest zobowiązana zrobić to, co dla niego najlepsze.

- To znaczy co?

Reed milczał. Obawiał się nawet o tym pomyśleć.

- Dać mu ojca. - Seth sam sobie udzielił odpowiedzi. - Ojca, który będzie to małeństwo kochał i troszczył się o nie.

- I na tym polega cały problem - z melancholią w głosie oświadczył Reed.

- Jaki problem?
- Nie jestem stworzony na ojca.
- Kto tak twierdzi?
- Historia, bo dzieje rodziny Atchisonów tego dowodzą. Nie jesteśmy genetycznie przystosowani do funkcji rodziców.
- Żeby być ojcem, trzeba być człowiekiem dobrym i uczuciowym.

Przez długi czas Seth przyglądał się przyjacielowi i nagle, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, twarz Mahoneya rozpogodziła się.

- Proszę o rachunek! - zawołał w stronę kelnera.
- Dokąd idziemy? - spytał zaskoczony Reed.
- Wybierzemy się w podróż sentymentalną. - Uśmiech na twarzy Setha stał się jeszcze szerszy. - Reed, mój drogi przyjacielu, gdy tylko zapłacę rachunek, obaj zrobimy szybki skok w najbliższą przyszłość. Obejrzymy sobie... gwiazdkowe prezenty...

- Często tu przychodzisz? - zapytał Reed przyjaciela. Seth rozpląszczył dłonie na szybie i chuchnął na szkło.

- Co najmniej raz w tygodniu.
- Dlaczego?
- Bo na tym piętrze są piekielnie seksowne pielęgniarki. - Seth wzruszył ramionami. Kiedy Reed westchnął głęboko, dodał: - Przychodzę tu po to, aby nie zapomnieć, że dzieją się na tym świecie rzeczy niewiarygodne i że to wszystko, czym się na co dzień tak bardzo przejmujemy, nie ma większego znaczenia.

Za wielką, szklaną szybą Reed ujrzał rząd małych, flanelowych zawiniątek w różowych i niebieskich kocykach. Miał przed sobą niemowlaki: śpiące, płaczące, poruszające główkami.

Wpatrywał się w nie obojętnie. Co Seth miał na myśli, wspominając o sentymentalnej podróży? Zapytał go o to.

- Jeśli jeszcze nic nie pojmujesz, to jesteś głupi jak but - oświadczył Seth bez ogródek.

- Słucham? - zapytał urażony Reed.

- Dobrze słyszałeś! Jesteś głupi. - Seth zastukał lekko w szybę, chcąc zwrócić na siebie uwagę atrakcyjnej, rudowłosej pielęgniarki. Na jego widok uśmiechnęła się i skinęła przyzwalająco głową.

- Idziemy - oświadczył Seth, nie patrząc na Reeda. , Otworzył drzwi znajdujące się obok wielkiej szyby.

Weszli na oddział noworodków.

Reed nigdy tu nie był, mimo że w szpitalu pracował od lat. Seth wdał się natychmiast w rozmowę z rudowłosą kobietą, Zoey Holland - Tate, jak wynikało z identyfikatora przypiętego do fartucha

- Mamy komplet - oznajmiła. - Proszę dalej. - Podała lekarzom maseczki, fartuchy i rękawice.

Reed przypomniał sobie, że atrakcyjna rudowłosa pielęgniarka to żona doktora Jonasa Tate'a, członka dyrekcji szpitala.

- Sam seks - z zachwytem w oczach szepnął Seth.

- Przecież nie jest już taka młoda.

- Ale nadal ponętna jak diabli.

- Jest żoną i matką.

- To nie ma żadnego znaczenia.

- O ile się nie mylę, jej mąż jest twoim szefem.

- A to ma znaczenie - przyznał Seth - choć nie zmienia faktu, że babka jest niesamowicie seksowna.

Szli wzdłuż szeregu łóżeczek z przezroczystego tworzywa, w których leżały niemowlaki. Pomarszczone, ale sympatyczne i na swój sposób nawet ładne.

Seth zatrzymał się przy jednym z maluchów.

- Dziewczynka - oznajmił. - Cztery kilogramy dwadzieścia. Trzy dni. Cesarskie cięcie. Dziś mamusia z

tatusiem zabierają ją do domu. - Nie pytając nikogo o pozwolenie, sięgnął do łóżeczka i wziął niemowlaka na ręce, a potem odwrócił się w stronę Reeda i powiedział: - Masz.

- O co ci chodzi?

- Weź ją i potrzyмай przez chwilę.

- Ale... ale to cudze dziecko - zaprotestował Reed.

- Tak, cudze, ale jakże wspaniałe. Dziś znajdzie się we własnym domu, a rodzice nie będą z niego spuszczać oka. Będą obserwować, jak raczkuje, jak wyrzynają mu się pierwsze ząbki. Pewnego dnia wsadzą je do szkolnego autobusu i poślą do pierwszej klasy. Potem nastąpią coroczne urodzinowe kinderbale, klamerki na zębach, dodatkowe lekcje tańca lub gimnastyki, domowe potańcówki. I z każdym dniem rodzice będą kochali je coraz bardziej.

Reed jeszcze nigdy nie widział przyjaciela w tak sentymentalnym nastroju, musiał jednak przyznać, że Sethowi było z tym do twarzy.

- Kiedy spoglądam na tę drobną istotkę - ciągnął, skupiwszy całą uwagę na niemowlaku - wszystko inne staje się nieważne. Mam rację?

Reed milczał, nie wiedział bowiem, co powiedzieć.

- Weź ją na ręce - namawiał go Seth. - To zupełnie naturalny odruch.

- Nie dla mężczyzn z rodziny Atchisonów - ponurym tonem oświadczył Reed.

- To naturalny odruch - upierał się przyjaciel - nawet dla ludzi z połową serca. I najwyższy czas, byś się wreszcie przyznał, że masz całe serce. Całe i wielkie, tylko że do tej pory nie miałeś okazji używać go we właściwy sposób. Weź ode mnie dziecko.

Z mniejszą niechęcią i rezerwą niż przedtem, Reed wyciągnął ręce. Nie umiał trzymać niemowlaka, lecz Seth

szybko pokazał mu, jak to robić. Gdy minął początkowy niepokój, stała się rzecz zdumiewająca.

Reed uznał, że to miłe uczucie trzymać w objęciach tak kruchą istotkę.

Maleńka odruchowo przytuliła się do niego. To też było przyjemne. Spała smacznie, z jedną rączką wysuniętą spod flanelowego kocyka i zaciśniętą w piąstkę tuż przy pyzatym policzku. Chwilę potem ziewnęła tak zabawnie, że chcąc nie chcąc, Reed musiał się roześmiać.

Kiedy obudziła się i uniosła powieki, był przekonany, że na widok obcej twarzy narobi piekielnego wrzasku.

Jednak mała nie rozplakała się, tylko szerzej otworzyła oczki i popatrzyła na Reeda takim wzrokiem, jakby nie miała nic przeciwko temu, że trzyma ją w objęciach. Po chwili znów smacznie spała.

Tak wspaniale nie czuł się jeszcze nigdy w życiu. Było to zupełnie nowe doznanie i prawdę powiedziawszy, z niczym nieporównywalne. Reed nagle pojął sens życia, które przekazywane jest z pokolenia na pokolenie. Zrozumiał nowe znaczenie słowa „przyszłość”, odnoszące się do istnień, które dopiero się narodzą. Życie to nieustannie powtarzający się cykl, pomyślał, a każdy z nas stanowi tylko jego fragment. Życie to wciąż odnawiana możliwość czynienia dobra i naprawiania błędów przeszłości. Życie to przyszłość.

Reedowi spodobała się ta idea. Spojrzał na niemowlę śpiące na jego rękach. I nagle zrozumiał, że wcale nie od kodu genetycznego zależy, czy człowiek jest dobry, czy zły i że DNA odziedziczone po przodkach niewiele ma tu do rzeczy. Bo była to wyłącznie sprawa serca. Jako kardiochirurg powinien był o tym wiedzieć.

- Ho, ho, ho... - pomrukiwał żartobliwie Seth, przerwawszy trans, w jakim pogrążył się przyjaciel.

Dopiero teraz Reed uprzytomnił sobie, że nie przyszedł tu sam.

- Aa... aa... aa... - szeptał, kołysząc małe flanelowe zawiniątko.

- Muszę już iść - oznajmił Seth.

- Aa... aa... aa...

- Operuję za pół godziny.

- Aa... aa... aa...

- Możesz tu jeszcze zostać, Zoey nie będzie miała nic przeciwko temu. Pielęgniarki są zadowolone, kiedy tu zaglądam.

- Aa... aa... aa...

- No, może z wyjątkiem jednej... - Dopiero teraz dotarły do Reeda słowa Setha, wypowiedziane z nietypowym dla niego smutkiem. - Ale to się zmieni - dodał z udawaną pewnością siebie. - Bądź co bądź jestem atrakcyjnym facetem, któremu nie oprze się żadna kobieta. Jej też się podobam, jestem tego pewien.

- Skoro tak twierdzisz...

Seth nie potrafił ukryć przykrości, jaką zrobiła mu złośliwa uwaga Reeda, postanowił jednak na nią nie reagować.

- Przychodź tu, kiedy tylko zechcesz.

- Może i tak zrobię.

- I koniecznie pogadaj z Mindy. Obiecujesz?

- Obiecuję.

- Święta Bożego Narodzenia stwarzają niepowtarzalny nastrój serdeczności i ciepła.

- W tym roku będą znacznie lepsze niż wszystkie poprzednie - wymamrotał do siebie Reed. Postanowił więcej nie roztrząsać smętnej przeszłości. Czekają go wiele Bożych Narodzeń z własną rodziną.

- Miłych i szczęśliwych świąt - życzył mu na odchodnym Seth.

Reed przytulił do siebie niemowlaka.

- Dziękuję ci, Seth - szepnął. - Jestem pewny, że takie będą.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Mindy leżała samotnie w ogromnym łóżu, które zaledwie dwadzieścia cztery godziny temu dzieliła z Reedem. Do tej pory nie wrócił do domu. Popatrzyła na budzik stojący na nocnej szafce. Dochodziło wpół do jedenastej. Czy naprawdę ostatniej nocy tak bardzo pragnęli się nawzajem? Trudno jej było teraz w to uwierzyć.

Nie był to jednak sen, wszystko zdarzyło się naprawdę. Na krześle obok komody leżało porządnie poskładane ubranie, które Reed miał na sobie wczoraj, a Mindy nie potrafiła się zdobyć na to, by schować je do szafy. Czowała jeszcze w pościeli zapach ukochanego, ulotne wspomnienie ich miłości. Żyła myślami o Reedzie i czuła się bardzo samotna.

Czy to uczucie nigdy już jej nie opuści?

Mindy niespokojnie przewróciła się na bok i utkwiała wzrok w aparacie telefonicznym. Milczał jak zaklęty.

Wcześniej przełamała się i zadzwoniła do domu Reeda w Ardmore, ale nikt nie podnosił słuchawki ani nie włączała się automatyczna sekretarka. Potem zdecydowała się zadzwonić do szpitala, gdzie powiedziano jej, że doktor Atchison już dawno skończył pracę. Nie pokazał się również w restauracji „U Evie”.

Nie miała pojęcia, gdzie jeszcze szukać Reeda.

Dokąd mógł pójść?

Może wyjechał?

Na zawsze?

Kiedyś będzie musiała się z nim spotkać, choćby ze względu na mieszkanie przy Cherry Hill. Jak będzie przebiegała ta rozmowa? Czy Reed uda, że nic się nie stało? Będzie zły? Rozczarowany?

Rozważając rozmaite możliwości, Mindy głęboko westchnęła. Gdyby Reed miło wspominał wczorajszą noc, wprost ze szpitala przyjechałby do domu lub przyszedłby do

restauracji. Albo chociaż zadzwoniłby do Mindy, by oświadczyć, że będzie kochał ją po wsze czasy. Jediną rzeczą, jakiej zrobić nie powinien, była ucieczka.

Rozżalona Mindy głęboko westchnęła. Niestety, Reed tak właśnie postąpił: wziął nogi za pas.

A już się łudziła, że tym razem w Boże Narodzenie przydarzy się jej coś naprawdę miłego!

Zamknęła oczy i starała się zasnąć, choć wątpiła, czy jej się to uda. Jednak zdrzemnęła się na trochę, bo gdy otworzyła oczy, budzik wskazywał północ. I natychmiast pomyślała o Reedzie.

Gdzie się podziewał?

Nagle, jakby w odpowiedzi na to pytanie, zza zamkniętych drzwi sypialni dobiegły ją jakieś dziwne dźwięki. Błyskawicznie oprzytomniała i usiadła na łóżku. Przez chwilę trwała bez ruchu, nadstawiając uszu. Dziwne dźwięki powtórzyły się, dochodziły jakby z oddali. I przypominały...

Bożonarodzeniowe dzwoneczki?!

Tak, Mindy słyszała je teraz wyraźnie! Mogły oznaczać jedną z dwu rzeczy. Albo do apartamentu wkradł się złodziej o specyficznym poczuciu humoru, albo... albo Reed zdecydował się wreszcie na powrót do domu.

Na wargach Mindy pojawił się nikły uśmiech. Jako niepoprawna optymistka, uwierzyła w drugą możliwość.

Po cichu odrzuciła kołdrę, podniosła się z łóżka i obciągnęła flanelową piżamę, niebieską w wielkie białe śnieżynki. Odgarnęła włosy. Postanowiła nie przejmować się swoim wyglądem. Na palcach podeszła do drzwi sypialni, delikatnie nacisnęła klamkę i przez szparę wyjrzała na zewnątrz.

W salonie ktoś był. Usłyszawszy znowu dzwoneczki, Mindy uśmiechnęła się do siebie. Co się tam działo?

Wreszcie wyraźnie ujrzała Reeda, bo chyba to był on? W salonie kręcił się mężczyzna pokaźnego wzrostu, o identycznej budowie ciała i równie ciemnych włosach. Ale ten ubiór.

Strój Świętego Mikołaja był dla niego stanowczo za obszerny i Reed musiał przewiązać się skórzanym pasem, żeby przytrzymać spadające spodnie. W półmroku Mindy dostrzegła, jak bardzo sfatygowany jest strój świętego, miał bowiem łatę na łokciu i wyłysiałe sztuczne futro.

Trudno jednak było oskarżać Świętego Mikołaja o brak prezencji. Mimo że ledwie widoczny, wyglądał doskonale.

Musiał wyczuć, że jest obserwowany, gdyż w pewnej chwili spojrzął na drzwi sypialni. Zobaczył szparę, a w niej podglądającą go Mindy.

Zamiast rozplynać się w powietrzu, co uczyniłby każdy szanujący się Święty Mikołaj, staruszek obdarzył ją szerokim uśmiechem.

- Szczęśliwych świąt - powiedział miękkiem głosem. To musi być przywidzenie, uznała Mindy. Tak usilnie pragnęła, by Reed wrócił do domu, że ukazał się jej we śnie. Podziałała rozbudzona wyobraźnia, ponieważ doktor Reed Atchison, którego znała i pokochała, przenigdy nie przebrałby się za...

Nabrała głęboko powietrza. Ten Reed, którego znała i pokochała, bez chwili wahania przebrałby się za Świętego Mikołaja, ale do dziś o tym nie wiedział.

A więc stało się! Wreszcie zdał sobie sprawę z tego, jaki naprawdę jest. Mindy odetchnęła z ulgą.

- Cześć, Mikołaju - powiedziała, szeroko otwierając drzwi i przechodząc przez próg pokoju. - Chyba zjawiłeś się trochę za wcześnie, do Bożego Narodzenia został jeszcze cały tydzień.

- W tym roku byłeś tak grzeczną dziewczynką, że zasłużyłaś na to, bym zjawił się wcześniej.

Mindy roześmiała się. Opuszczało ją napięcie, a w jego miejsce pojawiały się radość i spokój.

- Wcale nie byłam grzeczna - oświadczyła szczerze. - Zwłaszcza ostatnio.

- Och, drobne przewinienie może zdarzyć się każdemu. - Święty Mikołaj zbagatelizował sprawę. - Zwłaszcza tuż przed Gwiazdką.

Mindy z powątpiewaniem pokręciła głową.

- Byłam niegrzeczna nie dlatego, że liczyłam na świąteczną amnestię.

- Trudno mieć dobry humor, gdy trzeba szukać nowego domu - oświadczył Święty Mikołaj.

Mindy przyjrzała mu się uważnie.

- Wcale nie o to chodzi - sprostowała. - Cały problem, jeśli tak można się wyrazić, tkwi we mnie.

Uśmiechnął się lekko, a Mindy wiedziała, co to oznacza. Na myśl o uczuciu, którym ją obdarzał, serce nieomal wyskoczyło jej z piersi.

- Rozumiem, poranne mdłości, jakie towarzyszą ciąży, mogą sprawić, że czujesz się okropnie - oświadczył.

Mindy lekceważąco machnęła ręką.

- Mdłości? Och, to było dawno temu, już zdążyłam o nich zapomnieć.

- A więc jaki masz teraz problem? Uśmiechnęła się nieśmiało.

- Od dwóch tygodni nachodzą mnie nieprzystojne myśli, dotyczące pewnego lekarza...

Mikołaj podniósł rękę. Było widać, że - wcale się tym nie przejął.

- Z mojego punktu widzenia to nie jest grzech. - Ściszył głos i mrugnął porozumiewawczo do Mindy. - Mikołaj to też człowiek, szczególnie gdy spotka piękną dziewczynę...

- Coś o tym wiem - śmiejąc się zawołała Mindy, by Reed nie obraził prawdziwego Świętego Mikołaja. Szybko zmieniła temat. - Co masz w worku? - spytała. - Dostanę jakiś prezent?

- Dostaniesz - potwierdził, zabawnie mrużąc oczy. - Już mówiłem, byłaś w tym roku grzeczną dziewczynką. Chodź tutaj.

Przez cały czas rozmowy Mindy stała na progu niewielkiego korytarzyka, prowadzącego do salonu. Zrobiła teraz kilka kroków w przód i na widok tego, co ujrzała, aż zamurowało ją z wrażenia.

Żeby poprawić sobie nastrój, w apartamencie Reeda pozawieszała wszystkie przywiezione z sobą świąteczne ozdoby, a na blacie między salonem a kuchnią postawiła małą, plastikową choinkę. Kupiła też kilka świeczek o zapachu mięty, które ustawiła na niskim stoliku, a także wieniec bożonarodzeniowy, przyozdobiony czerwonymi jagodami, który powiesiła nad kominkiem.

W świątecznych przygotowaniach Reed posunął się jednak znacznie dalej. Nie tylko pozapalał miętowe świece, lecz dokupił ich co najmniej tuzin. Wszystkie płonęły teraz, łagodnym światłem rozjaśniając ciemne wnętrza.

Na stole przy balkonowych drzwiach stała mała choinka, a pod nią leżało kilka różnej wielkości paczuszek.

Drzewko już było ubrane, a wśród licznych ozdób migotały kolorowe lampki.

Musiał wszystko przygotować wcześniej, pomyślała Mindy, i dopiero w ostatniej chwili zapalił światełka. Była zachwycona pomysłowością Reeda. Zastanawiała się, jak długo planował tę niespodziankę.

Chyba jak zwykle czytał w jej myślach, gdyż niespodziewanie oznajmił:

- Oprzytomniałem dziś po południu.

Mindy szybko stłumiła rozbudzoną nadzieję. Już tyle razy przeżywała rozczarowanie, że wołała dmuchać na zimne.

- Co masz na myśli? - spytała ostrożnie. Otworzył usta, żeby odpowiedzieć, lecz się rozmyślił.

- Poczekaj, najpierw muszę wykonać swoją robotę. Jak wiesz, Święty Mikołaj pracuje bez przerwy...

Mindy przyglądała się, jak opróżniał worek. Kiedy skończył, na podłodze salonu piętrzył się stos prezentów. Po chwili wszystkie znalazły się pod choinką.

Jak nakazywała tradycja, Mikołaj przyniósł mnóstwo dziecięcych zabawek, specjalnie dobranych dla niemowlaka, a także piękną kołderkę, kocyki i zabawne ubranka, oraz małą pluszową piłeczkę i niewiele od niej większy, też pluszowy kijek baseballowy.

Mindy zwróciła uwagę na ostatnie prezenty.

- Czy ty aby nie przesadzasz? - spytała.

- Co masz na myśli?

- A jeśli będzie to nie chłopiec, lecz dziewczynka? - spytała ze śmiechem.

- Co za różnica? - obruszył się Reed. - Też powinna świetnie grać.

Rozbawiona Mindy przyglądała się pozostałym prezentom. Małym sweterkom, śpioszkom, rajtuzkom i czapczkom. Robiąc zakupy, Reed musiał spędzić w sklepie mnóstwo czasu, nic więc dziwnego, że tak późno wrócił do domu.

- Miałem fachową pomoc - oznajmił, znów odczytując myśli Mindy. - W sklepie oświadczyłem sprzedawczyni, że w kwietniu zostanę ojcem i zależy mi na szczególnie ładnych prezentach pod choinkę dla matki mojego dziecka.

Mindy spojrzała na Reeda, przekonana, że źle zrozumiała jego słowa. Zobaczyła przed sobą roześmianą twarz.

- Zanim wyszedłem ze sklepu z zakupami, ekspedientka powiedziała, że moja żona musi być bardzo szczęśliwą kobietą, mając takiego męża jak ja. Zamierzałem zaprotestować, ale... - Wzruszył ramionami. Gest ten, zamiast wyrazić bez troskę, ujawnił cały niepokój Reeda. - Pomyślałem, że będzie lepiej, jeśli ty sama podejmiesz decyzję w tej sprawie.

- Czy jestem szczęśliwa? Reed potrząsnął głową.

- Czy chcesz zostać moją żoną. Pod Mindy ugięły się nogi, a w jej oczach ukazały się łzy. Jej serce wypełniła bezbrzeżna miłość do Reeda. Zaniemówiła z wrażenia.

- Co ty na to? - zapytał z niepokojem w głosie. - Wyjdiesz za mnie?

A więc Reed naprawdę myśli, że ona może odrzucić jego oświadczenia! Zanim jednak odpowie, musi poznać przyczynę tej jego nieoczekiwanej i zaskakującej decyzji.

- Dlaczego chcesz się ze mną ożenić? - spytała prosto z mostu.

W oczach Reeda pojawiło się zdziwienie.

- To chyba oczywiste. A ty jak sądzisz, dlaczego?

- Sama nie wiem - odparła szczerze. - Może dlatego, że pragniesz się mną zaopiekować? Bo myślisz, że sobie nie poradzę? Bo czujesz się za mnie odpowiedzialny?

Reed energicznie pokiwał głową.

- Tak, tak, tak! Wszystkie trzy odpowiedzi twierdzące. Mindy posmutniała i zamilkła.

- A także dlatego - ciągnął Reed - że chcę, abyś zatroszczyła się o mnie, bo myślę, że sam sobie nie poradzę. Bo mam nadzieję, że też czujesz się za mnie odpowiedzialna.

Reed ruszył w stronę Mindy, lecz po chwili się zatrzymał, wciąż niepewny, jak zostaną przyjęte jego oświadczenia.

- Mindy, chcę, abyś została moją żoną przede wszystkim dlatego, że cię kocham. Bo dopiero przez te ostatnie dwa

tygodnie czułem, że żyję. I dlatego, że nie wyobrażam sobie dalszego życia bez ciebie. Byłoby puste, samotne i pozbawione sensu. Mindy, kocham cię - powtórzył, zdesperowany. - Kocham cię bardzo.

Z jego oczu wyzierało prawdziwe, głębokie uczucie. W Mindy stopniały wszelkie opory i rzuciła się w ramiona Reeda.

- Zgadzasz się? - zapytał.

- Tak, zostanę twoją żoną - potwierdziła jednym tchem. - Reed, ja też cię kocham. Nawet nie wiesz, jak bardzo...

Odetchnął z ulgą. Delikatnie odsunął Mindy od siebie i sięgnął do przepastnych spodni Świętego Mikołaja.

- Wobec tego chyba najpierw powinnaś dostać ten prezent.

Wyciągnął z kieszeni małe puzderko obite szarym aksamitem.

Mindy uśmiechnęła się nieśmiało. Z wrażenia poróżwiały jej policzki. Otworzyła pudełko. Na widok jego zawartości wydała okrzyk zachwytu.

- Jaki piękny! - szepnęła, ujrzawszy wspaniały pierścionek z brylantem o kształcie serca.

- Naprawdę? - Reed odetchnął z ulgą. - Nie byłem pewny, czy ci się spodoba.

- Jest fantastyczny. I sam go wybrałeś. To cudowne...

- T e n pierścionek przypomina mi ciebie - wtrącił Reed, gdy zaskoczona Mindy zawiesiła głos. - Może dlatego, że jest taki... lśniący i ładny. Wywołuje uśmiech na mojej twarzy.

Nie tylko na jego.

- Nałóż mi go - poprosiła. - Chcę zobaczyć, jak wygląda na palcu.

Reed zrobił, o co poprosiła Mindy. Podniosła dłoń, aby w migocącym świetle choinkowych lampek podziwiać blask klejnotu. Brylant mienił się jak tęcza.

- Gdybyś rozebrała się do naga, efekt byłby lepszy - podsunął Reed.

Mindy roześmiała się radośnie.

- Jak to się dzieje, że zawsze odczytujesz moje myśli?

- Chyba dlatego, że jesteśmy ulepieni z tej samej gliny.

- Chyba masz rację. Reed stanął za plecami Mindy.

Wmawiał w siebie, że

chce obejrzeć pierścionek z tej samej perspektywy co ona, ale tak naprawdę pragnął rozpiąć guziki jej piżamy. Mindy jak urzeczona nadal wpatrywała się w swój piękny, nowy pierścionek, a Reed przepchnął pierwszy guzik przez dziurkę, a zaraz potem następny. Miękka flanelowa tkanina rozchyliła się, ukazując kremowe ciało.

I nagle dla nich obojga stało się oczywiste, że całe piękno pierścionka dojrzą dopiero wtedy, gdy będą nadzy i bardzo blisko siebie. Reed szybko rozpiął resztę guzików i ściągnął z Mindy górną część piżamy.

- O, tak jest znacznie lepiej - stwierdziła, nadal wpatrując się w pierścionek. - Dopiero teraz naprawdę lśni.

- Zdumiewające. Przez chwilę Reed patrzył na obfite, kształtne piersi, a potem zaczął je pieścić.

Wreszcie udało mu się odwrócić uwagę Mindy od zaręczynowego prezentu. Uśmiechnęła się i poprosiła miękko głosem:

- Och, Reed, kochaj mnie, kochaj...

Nie musiała powtarzać tego dwa razy. Drobnymi pocałunkami zaczął obsypywać jej ramiona i szyję, pieścić dłońmi jej ciało.

Uwielbiał głaskać Mindy po brzuchu. Kiedy urodzi się dziecko, da jej następne, własne. Stworzą szczęśliwą, kochającą się rodzinę.

Był to dla niego prezent pod choinkę. Najwspanialszy, jakiego kiedykolwiek mógł się spodziewać.

Zsunął z Mindy spodnie od pizamy i sam szybko się rozebrał.

Z ufnością przytuliła się do ukochanego i po chwili należała do niego. Jeszcze nigdy w życiu nie przeżywali takiej ekstazy.

Długo, długo później, leżąc w ogromnym łóżu, nadal cieszyli się swoim szczęściem. Reed przytulił Mindy mocno do siebie i położył dłoń na jej brzuchu. Czyżby tylko wydawało mu się, że wyczuwa ruchy dziecka? Chyba tak, bo było na to jeszcze za wcześnie. Nadal jednak zachwycało go nowe życie.

- Szczęśliwych świąt - powiedział czule do Mindy. Ujęła go za rękę.

- Szczęśliwych świąt - powtórzyła bożonarodzeniowe życzenia. I po chwili łagodnym głosem dodała: - A ja dzisiaj cały dzień się zamartwiałam, że do mnie nie wrócisz...

Milczał przez dłuższą chwilę.

- Ja też miałem takie obawy. Nękały mnie znacznie dłużej. Na szczęście w tym roku po raz pierwszy w życiu otrzymałem na Gwiazdkę to, czego naprawdę pragnąłem.

Mindy przytuliła się mocniej do Reeda i znużona, w półśnie, powiedziała szeptem:

- Ja także dostałam najpiękniejszy prezent na świecie.